Nr. 8. Rok I.

We Lwowie 18. listopada 1882.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY

wychodzi od 1. października 1882 co sobotę w objętości półtora arkusza w okładce.

„ZIARNO" kosztuje:

W miejscu rocznie: **12 zł.** — na prowincji: **13 zł.**

„ kwartalnie: **3 „** — „ **3 „ 25 ct.**

Dla ułatwienia zaprowadzamy prenumeratę miesięczna w kwocie **1 zł. 10 ct.** w miejscu, a **1 zł. 15 ct.** na prowincji.

Na okładce każdego numeru umieszczają się INSERATY po 5 ct. od wiersza petytem.

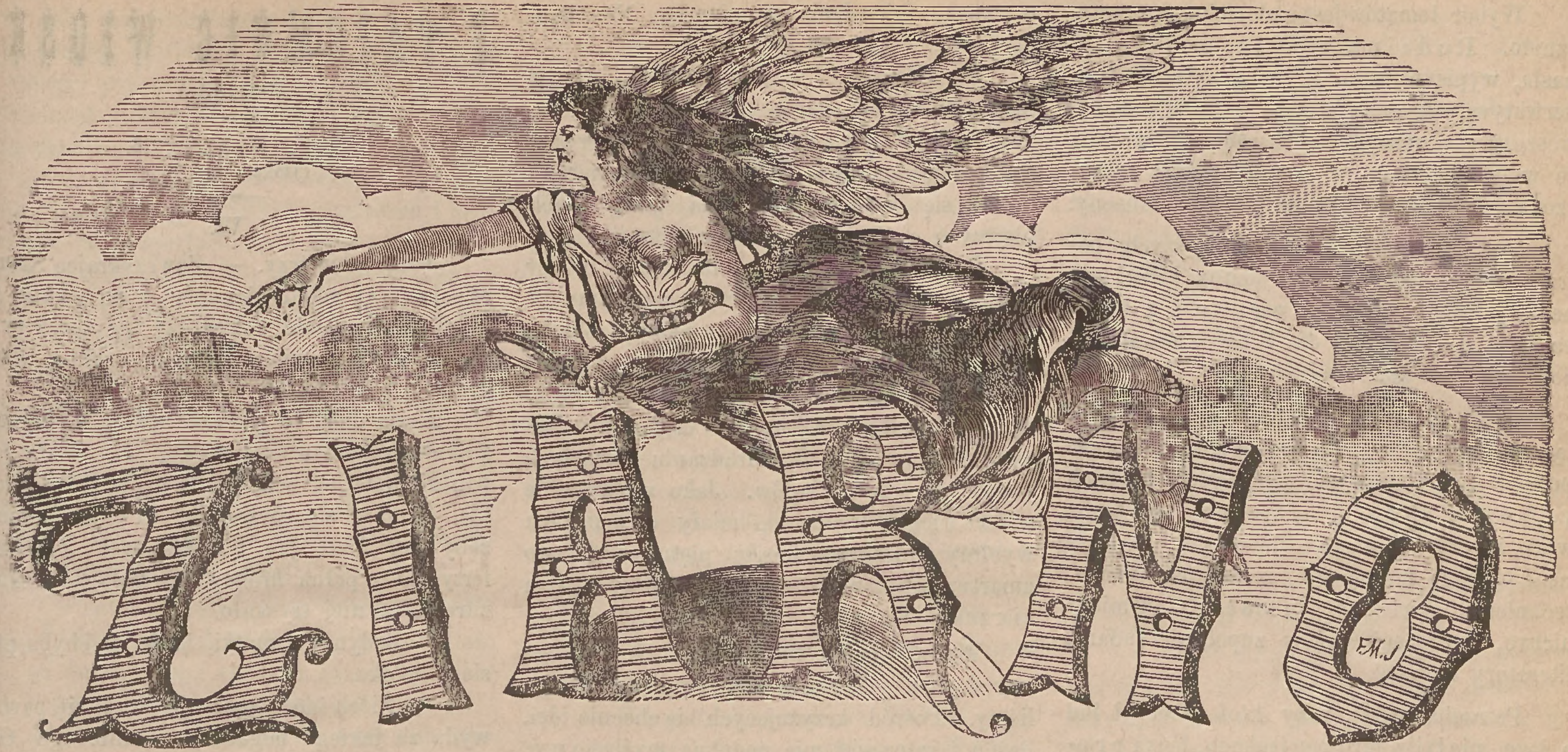
Prenumeratę, tak miejscową jak z prowincji przyjmuje:

Administracja „ZIARNA" w drukarni „Dziennika Polskiego" we Lwowieul. Halcka l. 46.

tudzież wszystkie księgarnie.

PP. Autorowie i nakładcy, którzy sobie życzą mieć ocenę swych dzieł w „ZIARNIE" raczą nadesłać redakcji egzemplarze wydanych książek.

Nr. 8. We Lwowie dnia 18. Listopada 1832. **Rok I.**



TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Prenumerata na „Ziarno“
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości $1^1/_2$ arkusza. Adres redakcji i administracji: „Drukarnia Dziennika Polskiego“ Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem.

Konkursa „Macierzy.“

Po długich deliberacjach i przewlekłych przygotowaniach wstępnych, budząca tyle przesadnych nadziei — „Macierz polska“, dała nareszcie znak życia, ogłosiwszy trzy konkursa na popularne dziełka ludowe. We wstępie swego konkursowego ogłoszenia, rada wykonawcza „Macierzy“ oznajmia, że drukują się już obecnie, jej staraniem, dwie przeznaczone dla ludu broszury, zamówione u autorów znanych na polu ludowego piśmiennictwa, oraz, że przyjmuje do publikacji i prace nadsyłane jej, na dowelnie przez autorów obrany temat, o ile rzeczywiście okażą się one zgodnemi z zapatrywaniami zarządu tej wydawniczej instytucji.

Podajemy w dosłownem brzmieniu oficjalnego tekstu, ogłoszone do konkursu, z terminem do 1 stycznia 1883 r. temata, wraz z komentarzami, charakteryzują one bowiem wyobrażenia kierowników tej instytucji o potrzebach ludu, i rodzaju jego karmy duchowej.

Konkursa ogłoszone są:

„a) na książeczkę o wzajemnych obowiązkach w rodzinie;

b) na książeczką o poszanowaniu własności;

c) na dziełko popularne w przedmiocie weterynarji ludowej.

W broszurce o „Rodzinie“ (2 do 3 arkuszy druku) życzymy sobie pracy, któraby przypomniała ludowi, jakie są obowiązki i prawidłowe wzajemne stosunki członków rodziny do siebie, wystawiając ważność i nieodzowną konieczność takiego wzorowego w gronie rodzinnem pożycia, błogie skutki dążenia ku zrównaniu się z takim wzorem, a przykrości i niedole tak dla rodziców, jak dzieci, a pośrednio i dla społeczeństwa całego, w razie przeciwnym. — Dla uniknienia zbytniego moralizowania, ma rzecz być ile możności ożywioną pozykładami z najbliższego potocznego życia w odnośnych sferach społecznych.

W książeczce o „Poszanowaniu własności“ (2 ark. druku), piszący rozwinie w sposób odpowiedni pojęciom ludu teorję własności, opartą na prawach powszechnie o niej obowiązujących, z usilną dążnością rozbudzenia świadomości, jak świętem i nietykalnem jest cudze mienie, i jak wstrętne a szkodliwe są następstwa zawiści lub pożądania cudzej własności, ile że każdy dojść może w godziwy sposób do własnego, odpowiedniego stanowi swemu majątku, a to przez pracę, trzeźwość i oszczędność.

W dziełku wreszcie o „Weterynarji ludowej (5 do 6 ark. druku) autor prawdziwie i fachowo obeznany z przedmiotem, wyłożyć ma przystępnie i popularnie anatomię i fizjologię zwierząt domowych, najczęściej w gospodarstwie rolnem używanych, o ile to dla ludu jest koniecznie do wiedzenia potrzebnem.

Następnie opisze najzwyklejsze choroby bydła domowego, tak zewnętrzne, jakoteż i wewnętrzne, i poda środki zaradcze do ratowania go z uwagą, na przesądne a zupełnie bezkuteczne tych chorób traktowanie a również nie zaniedba wskazać na pomoc, jakiej potrzebuje bydło w razie porodu. W zakończeniu podać ma autor krótką naukę obchodzenia się ze źrebcami, i instrukcje kucia koni.

Styl wszystkich tych trzech broszurek ma być popularny; język wolny od niepotrzebnych prowincjonalizmów i szortkiej, rubasźności, słowem czysty i poprawny. Manuskrypta z dołączeniem nazwisk autorów w zapieczętowanych kopertach, mają być nadesłane na ręce prezesa rady wykonawczej „Macierzy polskiej“ (p. A. Małecki w gmachu Ossolińskich). Nagrodzone rękopisma „Macierz“ drukować będzie z prawem tylko jednorazowego nakładu.“

Tyle z ogłoszenia.

Wybór tematów jest nader charakterystycznym. R o d z i n a i W ł a s n o ś ć — to hasła, wypisywane stale na wszystkich konserwatywnych sztandarach; o nie najbardziej troszczy się wszelki konserwatyzm, widząc, że w podwaliny te biją najbardziej wzburzone fale, podmywające porządek obecny.

Czy lud nasz nie ma pilniejszych potrzeb nad konserwowanie rodziny, której nikt na serjo nie zagraża, i własności, z której bardzo nie wiele ma do konserwowania — dowodzić nie potrzebujemy.

Prócz tych trosk o konserwowanie istniejącego porządku — Macierz zamierza jeszcze pouczać lud w różnych jego gospodarskich potrzebach. Rzecz to pożyteczna niewątpliwie, chcemy tylko zwrócić uwagę, że mylnem by było mniemanie, iż taki praktyczno-techniczny kierunek ludowego piśmiennictwa, wyczerpuje już w zupełności zadanie literatury ludowej.

Potrzeba także, żeby ktoś pouczył lud o jego, nie tylko już obowiązkach, lecz i p r a w a c h obywatelskich, publicznych i społecznych, ażeby lud ten brać mógł rzeczywisty i samowiedny udział w życiu autonomicznem i politycznem, ażeby nie wybierał na ślepo swych reprezentantów, i umiał ich kontrolować. Dodać przytem musimy, że im lepiej lud pozna swe istotne i najbliższe potrzeby, tem żywiej zainteresuje się sprawami publicznemi, i tem rozumniej ocenić je potrafi. A oto głównie chodzi.

Czy „Macierz“ zająć się ma pouczeniem ludu naszego i w tym kierunku, nie wiemy — ważna to jednak gałęź ludowego piśmiennictwa.

I ten jednak dział nie wyczerpuje całkowicie literatury ludowej. Odpowiednie miejsce wyznaczyć należy także na dziełka, przemawiające nie tylko do konserwatywnego zmysłu i potrzeb materjalnych, nie tylko nawet do praw obywatelskich, lecz wprost do fantazji i serca tego ludu. Klasy zamożniejsze aż do przesytu oddają się kultywowaniu swej fantazji i estetycznych gustów — tego też i ludowi odmawiać nie należy. Lud przytem, z samej natury swego cywilizacyjnego rozwoju potrzebuje takiego pokarmu. Dziecko, młodzian, dziewica, przebywają, jak wiadomo, nader chętnie w zaczarowanym świecie fantazji — a lud cywilizacyjnie jest poniekąd dzieckiem. W ponętną tę krainę, choćby wybujałych nadziei, uciekają też chętnie ci, których życie nie usłane różami — a lud nie żyje w zbytniej obfitości i dostatku. Tylko zaś wysuszeni pedanci odmawiać mogą wielkiego wpływu, owianej ciepłem gorętszych uniesień fantazji na rozwój umysłu i serca młodych, a nawet dojrzałych organizmów. Nie skąpmyż więc i tego ludowi.

Co „Macierz“ zamierza zrobić w tym kierunku — nie wiemy także.

A teraz jeszcze słów kilka. Pierwszy raz zabieramy głos w sprawie „Macierzy,“ należy się więc od nas kilka uwag ogólniejszych o charakterze tej instytucji.

Przedewszystkiem sądzimy, nie należy jej mierzyć wzorami, z których wzięliśmy dla wydawniczej tej instytucji — nazwę. „Macierze“ słowiańskie, które powstały w czasie rozbudzenia się narodowego życia u Słowian zachodnich, były wyrazem i organem usiłowań, skierowanych ku odradzaniu zamarłych prawie narodów i ludów. Jako wytworzone przez ruch odrodzenia, miały one pewien wybitny charakter, nosiły piętno idei tego zmartwychwstania, i wielkie oddały w tym kierunku usługi.

My nie przebywaliśmy prawie takiego odrodzenia, a dziś tem dalej od niego odbiegliśmy. Pośród krzyżujących się obecnie idei, dążeń i interesów, nie podobna myśleć o wytworzeniu instytucji, któraby duchowe potrzeby całego narodu, całego choćby ludu zaspokajała. W naszych stosunkach nosi ona dziś i nosić musi piętno poglądów i aspiracyj, które na nią najbliższy wpływ wywierają.

Nie należy przytem zapominać, że „Macierze“ słowiańskie są to zazwyczaj stowarzyszenia mnogich członków, że więc na nich odbijać się mogą i powinny panujące wśród członków poglądy i prądy.

Nasza instytucja nie wspiera się na tak szerokiej podstawie. Powstała ona jednostkową ofiarnością i staraniami nestora naszych powieściopisarzy a losy jej zależą od dobrej woli, wyobrażeń i łaski kierowników młodej instytucji.

Szanowny jej kurator przejęty jest niewątpliwie najlepszemi chęciami i chciałby wszystkim dogodzić. Zadanie to jednak ponad siły. Drugorzędnej wartości są spory o to, czy „lud“ w p o l s k i e m rozumieniu tego wyrazu, to cały naród, czy nie. W całym bowiem narodzie, a nawet w ludzie istnieć mogą i istnieją różne umysłowo-moralne prądy, wychodzące z dzisiejszych ognisk społecznego życia, w podstawie zaś naszego narodowego i p o l s k i e g o ustroju leżą różne sprzeczne interesa, które nie zawsze, apelacją do bezinteresowności jedynie i szerszych poglądów, całkowicie już załatać się dadzą.

Nie chcemy nadawać przesadnego znaczenia nowopowstałej instytucji — życzymy jej jednak, ażeby w zakresie, w jakim się obraca i obracać będzie, jaknajwięcej dobrego dla o g ó l n e g o pożytku zdziałała.

Z TAJEMNIC WIOSKI

NOWELLA

przez

SEWERA

(Dokończenie)

VI.

Minęło lat trzy. — Zawrzykrajce Szmul Miechowicki oddał pieniądze u adwokata, za które kupiła sobie w Dołędze tuż zaraz przy chacie siedm morgów dobrego gruntu, dwie krowy i parę koni.

Kasia choć to jeszcze młoda, była najpiękniejszą dziewuchą z całej wsi. Biała jak pańskie dziecko, oczy miała niebieskie i wielkie, — gdy się roześmiała, to wyszczerzała zęby tak białe jak i u Wałowej. Zgrabna, fertyczna, pełna uroków i wesela — samo zdrowie z niej tryskało.

— Jedyna u matki, brak jej chyba ptasiego mleka.

— Niech ino zmądrzeje, to ci się pewno wyda za jakiego bogacza, za młodego Gofrona, albo za syna Sobociny...

Kumoszki radziły, a Kasia cieszyła się życiem i młodością swą. Czy z sierpem idzie do żniwa, czy z konwiami po wodę, czy krowy doi, czy na zagonie piele — wyśpiewuje różności — furka niby ptak i śmieje się do słońca, do ludzi, do świata całego.

— Młode to i głupie, — mówili starzy.

Kasia nie była głupia, cieszyła się szczęściem, jakie miała u Boga i ludzi. — Kąpała się świtaniem w wiosennej mgle, rankiem w perlistej rosie, zachodzące słońce złociło ją i rumieniło; gdy biegła przez wał, przedrzeźniała ptaki i koniki polne.

W zielone święta wdziała białą, wzorzysto haftowaną spódniczkę, amarantowy gorset i białą chustkę na głowę. Ledwie wróciła z kościoła, gdy po wsi rozeszła się pogwara, że Zyzma się zjawił.

— Jak raz mam dwanaście papierków, — zawołała Zawrzykrajka, — i dobrze, że wrócił oddamy mu je. — Dobra żydzina, żeby nie on, bieda by nas dobrze sponiewierała.

Kasia się czegoś zarumieniła, lecz nic się nie odezwała. Zjadła obiad i z ciekawości wybiegła do ogrodu zajrzeć, co się dzieje przed chatą Wałowej.

Josek w świątecznym, materjalnym chałacie, w krymce i w kapeluszu, jedną ręką podkręcał pejsy, drugą założył za wełniany pas opasujący mu biodra. Stał poważnie i słuchał co mówił gość, siedzący przed chatą na ławie. Zyzma ubrany był jak pan, złoty łańcuch przy kamizelce i pierścionek na palcu świeciły od promieni słońca. Palił papierosa, oczy przymrużał i patrzył jak młody dziedzic. A ładny się z niego zrobił mężczyzna—

Sara rozpromieniona nie śmiała przy nim usiąść, dziwowała się temu co mówił, i z radości pokazywała białe swe zęby. Zyzma opowiadał o Wiedniu, zkąd przywiózł macosze chustkę i prezenta dla dzieci.

Gdy przestał, Josek z właściwą mu powagą objaśniał go o swych interesach i projektach na przyszłość. Sara głową kiwała na znak wielkiego podziwu nad mądrością syna. Josek patrzył na karczmę, i mówił o niej jak o swej własności.

Słyszała opowiadanie Zyzmy Kasia zasłonięta płotem własnego ogrodu. Dziwowała się jego urodzie i ładnemu ubraniu, radaby go zobaczyć zbliska i pogadać z nim, ale się jakoś wstydziła, nie Zyzmy ale ludzi. Zaczęto mówić o niej. — Dziewczyna przyłożyła ucho między szczeble płotu.

— Zawrzykrajka — opowiadała Wałowa, — bogaczka. A ta Kasia, poniewierało się to po drogach i cudzych kątach — lubiłeś ją przecie i ty — pamiętasz?

Zyzma kiwnął głową na znak, że pamięta.

— A czy uwierzysz, że ona dziś najpiękniejsza dziewucha na całą het — okolicę? — Wałowa zakreśliła ręką wielkie półkole. — A mówię ci krew z mlekiem, a ślepie wielkie, a zęby — a usta jak u dworskiej panny.

— Widziałem ją, — odparł z pewnem roztargnieniem Zyzma.

Kasia zaczerwieniona wysunęła się z po za płotu i przyczajona do ziemi dopadła do chaty, a że właśnie dzwonili na nieszpory, nie czekając na matkę ogarnęła się i wyszła biegnąc prosto do kościoła.

Wieczór już był, gdy z powrotem weszła do chaty.

— A wiesz Kasiu co ci powiem? Zyzma ani się pokazał.

— Nie byliście Matusiu na nieszporach? — przerwała.

— Zdrzymnęłam se leguśko, alem się jakoś przebudzić nie mogła. — No i co sobie ten żydek myśli, że nie przychodzi po swoje?

— A wiem ci to, — odparła Kasia.

— A dawniej, jakeś była mała, to ci świadczył, to ci pochlebiał. — I cóżby ci przyszło z żyda? A tera ani zajrzy.

Kasia milczała.

— A i lepiej — bo jak tu posiedzi a zachodziłby do nas, to byś się ino po próżnicy na pośmiewisko ludzkie podała.

Dziewczyna zabierała się do wyjścia.

— Gdzieżto? — spytała matka.

— Przecie matusia wiedzą, że jutro musimy ubierać obrazy, a ogrodnik nie chce dać kwiatów. Lecę naradzić się z Zosią.

— I nie przebierzesz się?

— Abo to nie wielkie święto moja matusiu?

Kasia wybiegła w białej haftowanej spódniczce i amarantowym gorsecie. Drożyna do Zosi wiła się wśród rozrzuconej po murawie olszyny. Księżyc wychylał się z za pagórka wielki, ognisty, rzucając czerwone blaski na świat.

— Będzie posucha, — zawołała wesoło Kasia patrząc na księżyc, chociaż jej troszkę było markotno, że Zyzma o jej chatę ani zawadził.

— Pewno bogaty i dla tego zhardział — myślała. — Ma ci złoty łańcuch, pierścionek i przyodziewę galantą.

Ledwie to sobie powiedziała, Zyzma wyszedł z za drzewa, stanął na ścieżce i jak się patrzy grzecznie się skłonił. Dziewczyna się przestraszyła, tchu jej w piersiach zabrakło i chciała już uciekać, gdy Zyzma przemówił wyciągając rękę.

— Nie poznajesz mnie to Kasiu?

— A toć Zyzma — zaczęła prędko mówić chcąc pokryć wzruszenie. — Uciekłeś, a mnie się z początku cnęło, ale potem zapomniałam sobie. A matusja cię wyglądają od południa z temi dwunastoma papierkami. Oj, oj, wyświadczyłeś nam i bardzo — i niech cię Bóg nagrodzi.

— Już mnie nagrodził, — przerwał opowiadanie chłopiec patrząc zalotnie w oczy dziewczynki.

Kasia spłonęła od tego spojrzenia.

— Mam pieniądze, mówił dalej — jestem zdrów, ludzie mnie lubią, dobre interesa robię i nie zapomniałem o Was. Anibym tu zajrzał, gdyby nie ty moja Kasiu. Przywiozłem ci gościniec. — Wcisnął jej na palec ukuty ze złota pierścionek z zielonym kamieniem.

— Ej, ej mój Zyzma a co ja będę z takiem bogactwem robić? — szeptała patrząc uszczęśliwiona na pierścionek.

— Bo prawda żebyś za niego kupiła ze dwie wielkie krowy. A co z nim zrobisz, to ci powiem. Jak będziesz mieć długą suknię, kapelusz i złoty zegarek, to ci się przyda. — Wziął ją w pół pochylając się ku niej.

Kasi serce biło, ciężko oddychała.

— Przecie ja jestem gospodarska dziewucha a nie żadna pani, — mówiła spuszczając oczy.

— Ale zostaniesz panią!..

Dziewczyna spojrzała ciekawie na Zyzmę. Chłopiec co raz serdeczniej tulił ją do siebie.

— Pamiętasz, jak byłaś małą i biedną dziewczyną, tom cię lubił, głaskał i czem mogłem dzieliłem się z tobą — a byłem wtedy biedny — bardzo biedny...

— Prawda — szepnęła.

— Wydobyłem was z biedy i teraz jesteś bogata.

— Prawda — poświadczyła cicho.

— A gdy mnie macocha z domu wygnała, ludzie skrzywdzili, powiedziałem sobie, że muszę zrobić pieniądze — i jak je będę miał, — powrócę...

Kasia milczała wysuwając się powoli z objęć Zyzmy.

— I wróciłem! Byłem w Wiedniu, Krakowie, widziałem dużo ładnych panien a jednak wróciłem.

Dziewczyna spuściła oczy.

— Kasiu ty jesteś dla mnie najładniejsza. Biedny chłopak myślałem sobie, że będziesz moją. Dziś jestem bogaty i potom tu przyjechał.

— Aleś ty mój Zyzma żyd! — zawołała wystraszona dziewczyna.

— Jeżeli mnie zechcesz, to ja przestanę być żydem. Nie mam ojca, a o macochę i innych żydów nie dbam. Kasiu dawniej lubiłaś Zyzmę; gdyś go zobaczyła na błoniu, biegłaś do niego...

I znów ją objął w pół.

— Lubię cię i teraz, lecz cóż ludzie powiedzą, żem się wydała za wychrztę? — a toć podam się na pośmiewisko, przekleństwa i zemstę wszystkich żydów?

— Co ta żydzi? ty ich się nie boisz. — A ty się swoich boisz?

— Nie boję, ale się wstydzę. Oczu bym nie śmiała podnieść na ludzi.

— To uciekajmy! zawołał.

— A matusia?

— Zabierzemy ją.

— A gospodarstwo?

— Sprzedacie. Zawiozę cię tam gdzie będziesz panią, gdzie nikt marnego słowa ci nie powie, ludzie będą usuwać ci się z drogi, — a na mnie nie powiedzą, żem żyd...

— A ino jak? — spytała naiwnie.

— Powiedzą — uczciwy człowiek.

Kasia się zamyśliła.

— Tam zawsze ciepło, tam zawsze lato. Nie będziesz nic robić, a ja cię będę pieścił i całował. Przecież ja byłem dobry dla ciebie, posyłałem cię do szkoły. kochałem. Kasiu pojedziesz? Prawda że pojedziesz?! Pocałował ją tuląc do siebie.

— Ja pójdę za tobą, a tu cała wieś krzyknie: — „uciekła z żydem!“ Ludzie mnie będą pomstować... Tegobym nie przeżyła... — Zalała się łzami.

— Ludzi i wioski nie zobaczysz.

— Nigdy?

— Już nigdy w życiu.

— Abo jabym to wytrzymała na takiej pustce? Abo jabym to wytrzymała bez ludzi, chaty, gadziny i dobytku? Jak pójdę na

odpust do Szczepanowa na dwa dni, to mi się tak cnie za Dołęgą i zagrodą, że rady sobie dać nie mogę. Mój Zyzma nie ciągnijże mnie na zatracenie.

— A przecie i tam są ludzie, i lepsi i ładniejsi.

— Ale nie tacy — odparła.

— Albo to w Dołędze już cały świat? Albożto za Dołęgą nie można już żyć?

— Można ale nie nam.

— Kasiu ja cię tak kocham, będę cię ślicznie ubierał, będę cię pieścił, będę ci służył — matkę twoją szanował.

— I cóż mi z tego, kiejś ty żyd! — zawołała łamiąc ręce.

— Ale cię kocham jak żaden na wsi chłopak.

— I cóż mi z tego kiejś żyd — powtórzyła z rozpaczą.

— Zabiję się — szepnął, usta mu drżały, a w oczach światełka migały.

— Dla jednej dziewczyny, — nie żartujże sobie mój Zyzma,

— Przysięgam ci jak Bóg na niebie — zabiję się.

— Ha! mówiła z rezygnacją oddając mu pierścionek i smutnie wstrząsając główką, — jeżeli już tak chcesz, to się kiejś przecie na tamtym świecie spotkamy.

— Precz! — krzyknął Zyzma, precz! — powtórzył cicho ochrypłym głosem, coś go widocznie dławiło.

Wystraszona dziewczyna skoczyła jak błyskawica, uciekając, ile jej sił starczyło. Zyzma stał z wyciągniętą ręką blady — powtarzając:

— Precz — precz!

Dziewczyna zniknęła wśród drzew, jak gdyby się rozpłynęła w bladem świetle księżyca, a Zyzma jeszcze stał z wyciągniętą ręką.

Drzwi zaskrzypiały do izby Zosi Kopcianki. Wpada Kasia nie mogąc ze strachu słowa przemówić.

Opowiadała, że ją coś straszyło w olszynie.

Nazajutrz rano Wałowa przyniosła od Zyzmy kartkę Zawrzykrajce, chwaląc się, że te dwanaście papierków które odbierze, przeznaczył Zyzma na posag dla Ryfki. Wałowa się przysięgała, że zanim Ryfka urośnie, musi z tych dwunastu zrobić stówkę.

Kasia przeczytała kartkę głośno, a że w niej wyraźnie napisane było dwanaście guldenów bez żadnych procentów, gospodyni wydała je Wałowej.

* * *

I już więcej oczy ludzkie nie widziały Zyzmy.

Kasia wydała się za syna Sobociny, i choć ją tam czasem chłop poszturka, gdy wróci z karczmy, — dziękuje Bogu, że nie wyszła za żyda i nie piastuje żydowskich dzieci. — Ma ich tam pan Jezus troje, i chowają się dobrze za wolą Bożą.

Wałowa robi pieniądze a i ludzie ją lubią. Zawsze gotowa wygodzić w potrzebie, nie zdziera, a cierpliwa.

Josek, już na dobre zawojował matkę. Poważny, milczący, patrzy na karczmę i kiwa głową. Joska nikt nie widział śmiejącego się, lecz gdy sam jest, gdy odpoczywa, bawi się własnemi myślami i na karczmę patrzy, wtedy się uśmiecha grożąc gojom.

Ryfka idzie za syna szklarza ze Szczurowy i wnosi mu posagu sto papierków, które mają wejść do handlu cielęcemi skórkami. Tak postanowiono na radzie familijnej. Josek przyrzekł siostrze swoją protekcję, za co mu jest wdzięczną.

Mojżeszek chodzi do szkoły z katolickiemi dziećmi i przysięga matce, że będzie taki mądry i taki pan jak Zyzma.

Z poezyj Henryka Merzbacha.*)

Z KORDOWY.

Graj na gitarze, Kalifów prawnuku!
Niech Andaluzki swą kaczuczę tańczą...
Wśród gromów walki i wśród armat huku,
Niech kastaniety cię do marzeń niańczą! ...

Cóż, że tam zdala, za Sierra Moreną,
Lud tron obala i Burbonów imię!
Twojej wolności, żadnej zbrodni ceną,
Żaden ci tyran nie wydrze, olbrzymie!

W twoim meczecie (**) leży Alba w trumnie,
Oprócz Kordowy, światy przed nim drżały...
Twym wałem — góry, co tak sterczą dumnie,
Jakby w ich łonie wieki skamieniały.

W Gwadalkwiwiru otchłani przezroczej
Kąpiesz swe mury, Maurów Alkazarze!...
Po twych zwaliskach młody pieśniarz kroczy
I twoje dzieje pisze... przy gitarze...

Kordowo! dawniej byłaś panią światów,
Ludu miliony legły twe ulice...
Dziś w twych ogrodach pustych, wśród granatów,
Jak z alabastru kąpią się dziewice...

Dawniej świat sławił twych synów imiona:
Averroesa, Senekę, Gonzala...
Dzisiaj samotna romanza stęskniona
Nad tem co było — cicho się użala.

Ale ja wolę huryski i pienie,
Wolę z marmuru wyciosane wanny,
Wolę różami pachnące strumienie
I aż do niebios bijące fontanny.

I u tych fontan dumające dziewy,
A przy tych dziewach hidalgi wspaniałe,
Wolę miłością nieśmiertelne śpiewy
Nad twe Seneki i nad twoją chwałę!

Bo jak wiatr liście z twoich palm odziera,
Tak dziejów karty zrywa czas — morderca.
W ludzkości tylko młodość nieumiera,
Tylko nie giną kochających serca...

Graj na gitarze, Kalifów prawnuku,
Niech Andaluzki swą kaczuczę tańczą...
Wśród gromów walki i wśród armat huku
Niech kastaniety do marzeń cię niańczą!...

*) Patrz „Przegląd literacki“.

(**) La Mezquita

Początek i rozwój staro-egipskiej religii

przez

Jerzego Ebersa

(z niemieckiego.)

Odcyfrowanie hieroglifów wszelkiego rodzaju, z dniem każdym staje się łatwiejszem. Doszliśmy już tak daleko, w odróżnianiu form starszych od nowszych, w wykładzie syntaktycznej budowy mowy, w tłumaczeniu tekstów, iż w wiernie zdjętym szkicu dwóch niezależnie od siebie pracujących badaczy, zaledwie małe zboczenia znaleść się mogą. A ponieważ większa część literatury staro-egipskiej, nam znanej, składa się z religijnej treści, należałoby mniemać, że o wierze Egipcjan jesteśmy dokładnie poinformowani. Tymczasem tak nie jest; jakkolwiek bowiem niezliczone religijne napisy, które się na ścianach świątyń i grobowców, w sarkofagach, papyrusach, amuletach, i t. d. znajdują, dla tłumacza w przełożeniu i rozbiorze gramatycznym nie przedstawiają żadnej trudności, odcyfrowane jednak pisma są tak pełne alegoryj, ciemnych symbolów, i tylko dla wtajemniczonych zrozumiałej gry wyrazów, iż najpoprawniejsze tłumaczenie oddać jasno głównej myśli nie może. — Dziwić nas to nie powinno; — przecie symboliczna mowa i w chrześcijańskich pismach częstokroć brzmi tak, że w niej zawartej nauki innowiercy nie tylko nie pojmują, ale fałszywie wytłumaczyć ją mogą. Przypomnijmy na przykład apokaliptycznego baranka z siedmioma nogami i siedmioma oczyma, który jest panem panów i królem królów, albo kozła, którego odłączą od owiec, gdy zagrzmią trąby w dniu ostatecznym. Zdania te każdy chrześcijanin bez komentarza rozumie doskonale; lecz jakież pole domysłów zostawiają one mało z wiarą naszą obeznanym Mahometanom lub Budystom! — Religijne napisy i pisma Egipcjan są wyraziste, lecz rozłamać trzeba wiele jeszcze pieczęci, nim je zupełnie pojmiemy. W ostatnich czasach porobiono znaczne wyjaśnienia. Znamy nie małą liczbę bogów egipskiego Panteonu, i kilkanaście opowiadań mytycznych,

które wtajemniczają nas w ich rządy, wiemy w jaki sposób ich czczono, posiadamy wiadomości o etycznych prawidłach religii, jesteśmy w stanie zrozumieć naturę wiary Egipcjan w nieśmiertelność, — a przecie nie udało nam się dotąd odkryć działalności pojedynczych bogów i ich stosunku z sobą, oraz dojść do początku rozwoju pojęcia bóstwa u Egipcjan. Ostatnie przedsięwzięcie nie mało ma trudności do zwalczenia, gdyż jak oświata Egipcjan tak i religia, na najstarszych pomnikach występuje w skończonej całkiem formie, która choć podlega różnym przejściom, nic jednak nowoukształconego nie przedstawia; drażni to badacza, tem bardziej, że metoda poszukiwań w naszych czasach wymaga, by nietylko śledzić rzecz dokonaną, ale początek i stopniowy wzrost jej istoty.

Nie oparł się tej pokusie i autor odczytów o „Początku i rozwoju religii dawnych Egipcjan“ p. P. Le Page Renouf, jak tytuł sam wskazuje. Stara on się w zwięzły, elegancki i zrozumiały sposób przedstawić naukę wiary starożytnych Egipcjan, i broniony przez Maxa Müllera „Urmonotheism“ im narzucić. Dowodzi, iż legiony egipskich bogów wyłoniły się stopniowo z jednej światem poruszającej siły, co znaczy, że po pierwotnym monoteizmie wierzono najpierw w kilku, potem w więcej a w końcu w niezliczoną liczbę bogów.

Nim przeciw zapatrywaniu uczonego autora wystąpimy, musimy wyrazić skrupuł, czy w ogóle nadszedł już czas do napisania łącznej mitologii Egiptu. Podobne próby, na których nie zbywało dotąd, nie były uwieńczone pożądanym skutkiem, ale chociaż jako całość z każdej nowej pracy w podobny obręb wkrótce mogły być przeniesione, niemniej przyczyniły się, by niepewności w prawdopodobieństwa, a wątpliwość w pewność zamienić. Zasługę tę przyznać trzeba także odczytom Le Page Renouf'a. gdyż faktem jest, iż mało z obecnych (tegoczesnych) egiptologów może z równem mu powodzeniem podjąć się tego trudnego zadania, zna on bowiem gruntownie język Egipcjan, i swą subtelną lingwistyką i gramatycznemi odkryciami przysporzył nauce plonu nie mało; jest również biegły, — co po następcy Maxa Müllera spodziewać się należy, — głęboko w wszelkiej porównawczej mitologii. Pewniki jego przyjąć można bez zastrzeżeń, z czego skorzystają niezawodnie mniej zdolni badacze, ale domysły choć upozorowane umiejętnie, pozostają do zaprzeczenia; przedewszystkiem hypoteza Le Page Renouf'a o pramonoteizmie Egipcjan jest podług nas błędną.

Już przed kilkoma laty R. Pietschmann w Virchowa „Etnologii“ wydawanej przez Bastiana i Hartmanna, bronił przeciwnego poglądu, wykazując, że postępujące wyobrażenie religii egipskiej winno być brane z punktu historycznego, i zwrócić się do dawnego feteszyzmu. Oczywiście żąda, aby słowo feteszyzm w wyższem, niż krajowe, znaczeniu było pojmowane, gdyż w istocie u narodów oddanych feteszyzmowi, słowo to wyraża pojęcie boga, które wszędzie ściąga się najpierw na przyczyny pojedynczych działań, a potem dopiero na ogół wszystko poruszającej siły. Przekonaniu temu nikt się nie oprze, kto wie, iż razem spojone pojęcia rodzajowe pochodzą zawsze dopiero z spostrzeżeń połączonych części wyobrażeń. Człowiek pierwotny, który wróbla, jaskółkę, bociana orła szczegółowemi nazwiskami mianuje, nie posuwa się tak daleko, by dla wszystkiego drobiu zbiorową nazwę „ptactwa“ wynaleść, inny zna wierność, miłość, odwagę, pilność, wytrwałość bardzo dobrze, ale nie udało mu się odpowiedniego naszej „cnocie“ słowa dla tych przymiotów utworzyć. Wszelako religijno historyczne i psychologiczne studja naszego wieku stwierdzają, iż nie ma ludu na ziemi, u którego by religijne potrzeby w jakiejkolwiek bądź formie nie wystąpiły, i że poszukiwania za działającą na zewnątrz ludzkiej indywidualności kosmiczną siłą, każdemu śmiertelnikowi tak są wrodzone, jak inne popędy i porywy. Jeden każe ludziom szukać Boga w uczuciu nieskończoności jego siły, i w pożądaniu obrony przeciw niezależnym od niego zjawiskom natury — inny dlatego tylko, iż rodzajowi ludzkiemu jest właściwem badać przyczynę każdego skutku. Przerażony umysł może, gdy otworzą się niebieskie opusty, błyskawica rozrywa chmury, grzmot trzeszczy i huczy, a burza drzewa wyrywa, trwożliwie zawołać: „któż uratuje mnie od niebezpieczeństwa?“ lub spytać z zdumieniem: „cóż tu się robi i kto jest ten, który zsyła te okropności?“ Chcielibyśmy się do tych przyłączyć, którzy powodującą przyczynę za źródło pierwotnych uczuć religijnych uważają; ale czy poszukiwanie Boga tak czy tak się objaśni, zdaje nam się być pewnem, iż dziecięcy duch prostych ludów, nim mógł powziąć myśl o jednej, całym światem rządzącej sile, pojmował pojedyncze siły, od których niezwykłe zjawiska złe lub dobre czynił zależnemi. Rozpoznanie w starszym nieprzyjacielu, który daje niepogodę, zaciemnia noc, mór zsyła, tej samej przyjaznej siły, która świat oświetla, pomyślności i urodzinom przoduje, noc miliardami gwiazd przystraja, jest krokiem przypuszczającym długi szereg poruszeń duchowych. Jeżeli jaka, to egipska religia musi nazywać się lokalną. We wszystkich częściach ściśle trzyma się właściwości Nilowej doliny, i łatwo wierzyć przychodzi, że w czasach jej powstania, szukano najpierw siły zamieszkującej słońce, a potem innej podnoszącej Nil, t. j. siły, która regularny wylew sprowadza, jako jedynej całe kosmiczne i ludzkie życie przenikającej i prowadzącej energii. Słoneczna służba Egipcjan ma formy, które tylko w dolinie Nilowej mogły się wykształcić. Tu na wschodzie i zachodzie dwa nieprzełamane łańcuchy gór odgraniczają kraj urodzajny. Za jednym młodziuchne słońce codziennie wstaje z pościeli, za drugim oddzielonym od ról niezmierzoną pustynią, zapada; tu strumień od którego dola i niedola pozbawionego deszczu kraju z niesłychaną gdzieindziej wyłącznością zawisła, odbiera cześć i ofiary, zatem nie możemy się dziwić, gdy widzimy, że całość religijnych i mitologicznych wyobrażeń Egipcjan od najdawniejszych do najpóźniejszych czasów, na kulcie egipskiego słońca, gwiazdy Egiptu, i egipskiego Nilu się opiera. Powtarzająca się codzienna walka światła z ciemnością, wpada szczególnie tu w oczy, a na niej i na siłach dzielących tę sprzeczkę, jak niektóre mytyczne legendy spowodowane szybkością Nilu, pouczają, kształtowanie mytów polega. Czy potem, co wyraziliśmy, można wierzyć jeszcze, iż w starożytnych czasach w dolinie Nilu jeden Bóg był uznawany, i dopiero później pod różnymi kształtami i imionami jako zjawiska natury i poruszenia duszy ludzkiej sprawująca siła, bywał czczony; a czyż nie zbliżylibyśmy się więcej do stanu rzeczy, gdybyśmy przypuścili, że najwięcej wpadające w oczy i najsilniejsze zjawiska w życiu wszechświata, uwagę najprzód dziecinnego, szukającego Boga ludu zwróciły na siebie, i spowodowały pierwszych mieskańców Egiptu do uznania w nich przyczyn, które były podstawą warunków, wśród jakich egzystowali. Te zjawiska, których przyjazne i szkodliwe działania każdego czasu dały się uczuwać, starano się bezsprzecznie pierwej przez modlitwy i ofiary ująć, i przejednać, niż jedynego Boga, dla którego Le Page Renouf i jego poprzednicy od wielobóstwa Egipcjan odwodzą.

Dwie są przedewszystkiem podstawy, na których uczony Anglik opiera swe spostrzeżenia. W późniejszych czasach Panteon egipski zaludniały istoty pierwej całkiem nieznane, a i w napisach pochodzących z stosunkowo dawnego czasu, o Bogu (nuter) w liczbie pojedynczej często jest mowa. Obydwa argumenta upadną, jeśli trzeźwo bez ułudy najstarsze pomniki (istniejące) i napisy na nich obejrzymy. Wszystkie bez wyjątku są płodem wysoko rozwiniętej i uregulowanej oświaty, a postawione są od ludu, który uprawiając rolę pod kilkakrotnie rozczłonkowanym mechanizmem rządowym, brał udział w wszelkich błogosławieństwach dobrze zorganizowanego państwa. Uporawszy się od dawna z nędzną troską o byt, mogli staro-

żytni Egipcjanie, o których posiadamy wiadomości, obrócić ogromną obfitość nadmiernej siły na uszlachetnienie i upiększenie życia. Posługiwali się wyłącznie skomplikowanym własnym systemem pisma, uprawiali ważne i trudne nauki, jak astronomję, geometrję z wielką starannością, i szczycili się sumiennem wykończeniem pracy. Tyczy to się głównie plastyki; ale obok niej pokaźne zajmowała miejsce architektura, tudzież muzyka, którą gorliwie pielęgnowano. Już wówczas znaczna część znaczniejszych bogów nosiła jednakowe nazwy, i tak była przedstawioną jak w późniejszych czasach, a napisy w świeżo otwartych piramidach wskazują, że nawet wiara w nieśmiertelność w owej (pierwotnej) epoce zbliżała się więcej do późniejszej formy, niż niedawno sądzono. Sama okoliczność, iż tak ważna część księgi umarłych, jak rozdział siedemnasty, już w państwie starożytnem zamkniętą i różnymi komentarzami opatrzoną była, powinna pouczać, że w historycznej, t. j. przez napisy mówiącej do nas epoce, o przechodzie z monoteizmu do wyobrażeń polyteistycznych mowy być nie może. Jeżli liczba bogów i demonów w nowem państwie się zwiększyła, to pochodzi po prostu ztąd, że każda egipska wioska posiadała swe lokalne bóstwa, a niejedno z nich tylko w małym obrębie swych nomos wysoko poważane, w całym kraju cześć odbierało, skoro z ojczyzny jego wyszła możnowładców familia. Wspomnimy jeno Amona z Teb, który nigdzie w starszej księdze umarłych nie jest wymieniony, a któremu po wypędzeniu Hykzosa, familia władców pochodząca z miasta Amona, nadała godność króla bogów. Nadto, dodać należy, iż w nowem państwie fantastyczne obrazy życia duszy w innym świecie, z upodobaniem z najdrobniejszemi szczegółami były przeprowadzone, i nieznanymi dotąd demonami uposażone, i że w następstwie stosunków, jakie się pod zwyciężającymi Faraonami 17 i 18 dynastji, między Egiptem i Azją zawiązują, niektóre wyobrażenia religijne i nazwy bogów, szczególnie semickiego pochodzenia, mogły tam także wejść i weszły. (D. n.)

Dziecko sąsiada

przez

Henry Irvinga

(z angielskiego)

W naszych czasach, kiedy postęp realizmu tak wielkich dokonuje przewrotów we wszystkiem, co teatru dotyczy, byłoby na miejscu zwrócić raz pilniejszą uwagę na te najbardziej ludzkie zdobycze, którym biedny aktor zawdzięcza nowoczesny popęd do prawdy naturalistycznej. Czasy tekturowych pasztetów i drewnianych kurcząt w dobrych teatrach już minęły — prawdopodobnie na zawsze. Na zajmującem przedstawieniu „Dot“ w Folly, pulchna pieczeń cielęca i porętna szynka sprawiły kolosalny efekt; piękne te okazy tak podrażniły nerwy żołądkowe wszystkich obecnych, że aktorowie zaczęli grać bardziej naturalistycznie, a publiczność lepiej prawdę gry odczuła. Także przyjazna opieka, okazywana przez pewną nader miłą młodą aktorkę, w pewnej popularnej operetce statystom przedstawiającym wojsko francuskie, do żywego mię wzruszyła. Artystka postarała się mianowicie o to, aby znaczna ilość prawdziwego chleba, który krajała z wielkim wdziękiem, dostała się rzeczywiście dzielnym żołnierzom w tyle sceny, których racje dotychczas prawdopodobnie były nader szczupłe. Taki dodatek co wieczora do żołdu, przyczynił się nie mało do zdrowia tych ludzi.

Kiedyśmy, jest rok temu, mieli grać na pierwsze przedstawienie w Lyceum stary szkocki dramat „Cramond Brig,“ pozostawiono biorącym udział członkom towarzystwa do woli wybór, jakim napojem mają popić „głowę baranią z fasolą.“ Potrawa ta gra główną rolę w „wieczerzach młynarza,“ w której bierze udział cały personal z wyjątkiem szkockiej szlachty i myśliwskiej świty króla; ci biedacy cisną się za kulisami, połykając ślinkę. Ironja dramatycznego fatum zakazuje tym nieszczęśliwcom pojawić się na scenie pierwej, niż po skończonej wieczerzy.

Przypomniało mi to pewne zdarzenie, którego przed kilkoma laty dożyłem. Podczas letnich feryj pewnego znacznego teatru prowincjonalnego, do którego najlepiej płatnych członków się liczyłem, przyjąłem engagement w pewnej małej szkockiej mieścinie. Dostawało się wprawdzie bardzo szczupłe honorarjum a ogromnie długie role, miało się bardzo mało sposobności do zrobienia sobie imienia — w każdym jednak razie było to lepiej, aniżeli siedzieć bezczynnie. Długi, którymi zawsze letni sezon aktorów obarcza, zostały przez to ograniczone do możliwego minimum, a przytem dyrektor nie miał serca z kamienia. Był on w swoim czasie sam nie złym od biedy aktorem, i sprawiało mu to przyjemność, że widział ofiarujących mu swe usługi dobrych aktorów z powodu, że wspaniałe lato dla scenicznego ludku jest prawdziwą zimą, najgorszą porą roku. Rozpoczęliśmy przedstawieniami sztuk: „Cramond Brig,“ „Lord Darnley,“ „Wallace,“ „the Hero of Scotland“ i „Gilderoy the Bonnie Boy.“ Oprócz tego, że brałem udział w hymnie narodowym, który co wieczora odśpiewywało całe towarzystwo z grzmiącą lojalnością — grałem we wszystkich tych sztukach. Po próbie z „Cramond Brig“ odezwał się nasz wesoły dyrektor: „No dzieci, dzisiaj nie braknie nam porządnej „wieczerzy młynarza;“ żadnych oszukaństw, żadnych tektur, ale porządna głowa barania i tęgi łyk prawdziwego „szkockiego“.

Dyrektor dotrzymał słowa; wieczór wniesiono prawdziwą, pięknie fasolą ubraną głowę baranią, nie brakło też „łyku prawdziwego szkockiego“. W scenie tej „dziecko sąsiada“ jest bardzo ważną osobą. Wchodzi i ma usiąść obok stołka młynarza. Rolę tę grała ładna dziewczynka o smutnych oczętach, mogąca liczyć lat około dziewięciu. Podczas wieczerzy, kiedy Jock Howison nawołuje do sumiennego wychylania „Whisky“, schyliło się dziewczątko ku mnie i zaszczebiotało: „Proszę pana, nie dałbyś mi odrobiny?“ Byłem najkompletniej zdziwiony, — dziewczę błagało jednak tak gorąco, że odpowiedziałem: Jeżeli już koniecznie chcesz, to niech stracę, jutro wieczór dostaniesz naparstek „Whisky“.

Na drugi wieczór, ku największemu mojemu zdziwieniu, wyciągnęła z kieszonki swej kratkowanej sukni jakieś błyszczące cacko, a pokazując mi je rzekła: „Oto naparstek — kochany panie.“

— Cóż ztąd?

— Przyrzekłeś mi przecie naparstek Whisky gdybym zażądała, — a jabym chciała koniecznie. — Wypowiedziała to z tak niewymuszoną swobodą, jak gdyby nie była na scenie. Widzowie pękali ze śmiechu i bili nieskończone brawo. Aktor grający młynarza niemógł podobnież wyjść z zdziwienia, byliśmy jednakże obaj zanadto rutynowani, aby wypaść z roli... Napełniłem przeto podany mi naparstek, poczem moja mała odwróciła się od publiczności i schowała naparstek do małej cynowej tabakierki, owinąwszy go poprzód szczelnie papierem, aby płyn się nie wylał...

Zasłona zapadła. Dyrektor promieniejący od szczęścia pogłaskał dziewczątko. Jesteś prawdziwym genjuszem — rzekł — twój pomysł był cudowny, najlepszy z całej sztuki. Musisz tę historję powtarzać odtąd co wieczora. Ale, zdaje mi się, ty nie zechcesz przecież pić wódki? — To... nie uchodzi, nie, nie, nie rób tego.

— O nie! panie dyrektorze, daję panu słowo — ja tego nie zrobię, zapewniało dziecko z najpoważniejszą w świecie miną, i pobiegło do garderoby.

Wbrew wszelkim oczekiwaniom musieliśmy grać „Cramond Brig“ jeszcze sześć razy dzień w dzień; co wieczora mała aktorka napełniała swój naparstek wódką, i co wieczora zdobywała przy tem huczne oklaski. Do czegoż przecie potrzebowało to dziecko

Whisky? cóż ona za jedna?... Chciałem koniecznie wybadać tę rzecz, ale gdy się raz zapytałem, to tak niechętną zrobiła twarzyczkę, i tak zróżowiała, że nie chciałem pytać dalej. Dowiedziałem się tylko starej rzeczy: nie miała matki, a ojciec był nicponiem — pijanicą.

A przecież jeszcze cała ta historja była dla mnie zagadkową. Cóż mogła ta dziewczynka robić z wódką? Wszakże dla zapitego ojca nie był przeznaczony ten naparstek.. Łamałem sobie głowę — naprożno. Ujęła mię jednak ta mała, i postanowiłem sobie koniecznie zbadać tajemnicę, bo że zachodziło tu coś niezwykłego, niemiałem wątpliwości. Raz po przedstawieniu widziałem, jak biedne dziecko samo szło do domu. Nie było ani matki ani brata, by je odprowadził w nocy. Spiesznym krokiem zdążało ku najuboższej dzielnicy miasta. Ja za niem. Weszło do jakiegoś starego, zawaleniem grożącego domu, po drabiniastych schodach wdrapało się na najwyższe piętro. Cicho i ostrożnie postępowałem za dziewczątkiem. Weszła do małej izdebki. Z garstki węgli tlejących na kominie, padało nieco światła na mizernego chłopaka, może dwa lata od niej młodszego, który zobaczywszy siostrzyczkę, popełzał ku niej ze swego miejsca przy ognisku.

— Cissy! ach jakżesz się cieszę żeś wróciła. Myślałem że już nie wrócisz — wyszeptał mizerny chłopczyna. Ona objęła braciszka ramionami, złożyła jego głowę na piersiach i poprowadziła znowu bliżej kominka.

— Jakżeż — zapytała — boli cię bardzo?

— Tak... — Smutniejszego „tak" nie słyszałem w życiu.

— O mój Willi! gdybym choć trochę mogła ci ująć z twojego cierpienia!

— Ale nasz ojciec, nasz ojciec, — odrzekł chłopczyna, to szkaradnie, że w takiej słocie wyseła mię na żebry. On wie przecież, jak jestem słaby!

— Willi! cicho na miłość boską. Mógłby cię usłyszeć.

— Dobrze, niech słyszy. Ja chcę, ażeby mię raz usłyszał, lepiej niech mię od razu zabije!..

Rozpaczliwa rezygnacja małej dzieciny, była czemś nad wyraz okropnem.

— Pst, cicho! ojciec nadchodzi, nie powinniśmy nań wyrzekać, — uspokajało dziewczątko tłumiąc silne łkanie. Potem rzekła: Chodź, chcę ci trochę uśmierzyć bolu.

Chłopczyk zwlókł koszulę z ciała. Ona nachyliła się ku niemu, objęła serdecznie ramionami i pocałowała. Sięgnęła do kieszonki i wyjęła tabakierkę.

— O gdybym była mogła dostać więcej, mój biedny Willi! możeby bole od razu ustąpiły... Domawiając tych słów zapaliła łojówkę. Potem potarła łopatki i krzyże chłopczyny kilku kroplami wódki, odziała go, przyprowadziła napowrót do kominka, a wziąwszy jego główkę ńa kolana zaczęła go usypiać.

Przez otwarte na wpół drzwi chciałem jeszcze raz popatrzyć na tę scenę — postąpiłem krok, but zaskrzypiał i spotkałem się wzrokiem z wystraszonymi oczyma Cissy. Położyłem palec na ustach i wysunąłem się z sieni. Na schodach spotkałem jakiegoś pijaka, rozbijającego się na wszystkie strony. Wstąpił do małej izdebki. Poszedłem za nim i skryłem się w cieniu na wpół otwartych drzwi.

— Co tu robisz? ha? wstawaj zawrzeszczał do córki surowym ochrypłym głosem.

— Nie mogę tatko; trzymam Willego głowę na kolanach.

— To go puść, wstawaj, powiadam.

Dziewczątko złożyło głowę brata ostrożnie na ziemi zasłanej cieniutkim szalikiem, i zaczęła sprzątać jak ojciec kazał.

— Tatko, Willi jest słaby; ach, gdyby go można wyleczyć.

— Stul gębę. Jeszcze słówko piśniesz, a nauczę was moresu...— Z temi słowy rzucił się opój na łóżko, i pomrukiwał: Leczyć, leczyć, jeszcze czego! Któż będzie zarabiał? Jego kaszel to nasz zarobek. Leczyć, a to mi się podobało. Ani mi się śni... i w kilka chwil potwór ten zasnął,

Dziewczątko patrzało przed siebie wzrokiem błędnym, bez wyrazu, a po chwili zaczęło skłaniać główkę, coraz niżej, niżej.

Nie mogłem dłużej wytrzymać. Wstąpiłem do pokoju. Opój spał snem twardym, a dziewczątko skradłszy się ku mnie wyszeptało z bojaźnią: O dobry panie! Prawda, że jeśli kto dowie się przypadkowo o cudzej tajemnicy, winien ją zachować. Tak mnie się zdaje, dodała z królewską godnością.

Miała słuszność — odpowiedziałem przeto z całą powagą, na jaką mogłem się zdobyć.

— Tajemnica twoja pozostanie świętą, ale ty musisz udać się do mnie, jeżeli czego zapotrzebujesz dla brata.

Skłoniła się, chwilę milczała, a potem nagle ucałowała mi rękę i odprowadziła do drzwi.

Następnego wieczora prosiła z pewną nieśmiałością o Whisky, dałem jej jednak sporą dozę.

Na ostatniem z tych sześciu przedstawień, twarzyczka jej była nieco pogodniejszą jak zwykle. Było na niej widać trochę szczęścia,. Gdy przyszła scena z wódką, nadstawiła naparstek i zaszczebiotała drżącemi usteczkami:

— Dziś panie, to tylko dla pozoru.

— Dlaczego? — zapytałem również cichym szeptem.

— Bo — on niepotrzebuje już więcej ... umarł!...

Życie mowy

przez

Ludwika Wierzejskiego.

(Dokończenie).

Formy gramatyczne psują się we wszystkich mowach w pewnym porządku, a formy raz znikłe już nigdy więcej nie powracają, przyroda bowiem jak nigdzie tak też i w życiu mowy nie wraca do form przebytych. Jaki będzie ostatni koniec mów flektujących, trudno teraz przewidzieć, zdaje się jednak, iż mowy te potracą wszystkie formy gramatyczne i porozkładają się na pierwiastki jednozgłoskowe, z których popowstawały. Widzimy więc, iż mowa ludzka jest rzeczywisty ustroj przyrodny, przebywający podobne fazy życiowe, jak wszystkie inne organizmy żyjące, że ma okres wzrostu, potem okres życia zupełnie rozwiniętego a po nich wreszcie następuje upadek. Widać z tego, jak mylnem jest zdanie jakoby mowy flektujące obecnie doskonaliły się i kształciły; trzeba bowiem rozróżniać część słowową mowy od części gramatycznej. Pod względem pierwszym o tyle kształcą się obecnie te mowy, iż z istniejących już pierwiastków, na oznaczenie pojęć nowych nowe wytwarzają wyrazy; pod względem drugim to jest gramatycznym nie tylko że się nie kształcą, lecz przeciwnie psują.

Szybkiemu zepsuciu gramatycznemu podlegają przeważnie mowy narodów żyjących żywem życiem dziejowem, przeciwnie zaś mowy narodów żyjących spokojnie, zachowują się dłużej niepopsute. Widać to bardzo wyraźnie n. p. na mowie islandzkiej, porownywując ją z duńską i szwedzką. Islandczycy, Duńczycy i Szwedzi mieli w wiekach średnich jedną wspólną mowę, która rozdzieliła się na 3 odrębne mowy i podczas gdy mowa islandzka zachowała znaczną część pierwotnych form gramatycznych, to mowy duńska i szwedzka bardzo się popsuły. Uwagi godne jest także to, iż w mowę ludzką już wyrobioną nie wchodzą już żadne nowe pierwiastki, lecz że wszystkie słowa nowe wytwarzamy z istniejących już pierwiastków, których liczba — około 600 — jest niezmienna, i że tak jak niemożemy tworzyć żadnego pierwiastka chemicznego, tak też nie możemy tworzyć żadnego pierwiastka mowy. Tu widać zno-

wu zupełne podobieństwo między ustrojem mowy a innymi utworami przyrodnymi.

Pierwiastki są to wyrazy jednozgłoskowe, oznaczające pewne pojęcia ogólne, nie mające żadnych form gramatycznych i przybierające dopiero po połączeniu się wzajemnem szczególniejsze znaczenie. Z takich pierwiastków złożona jest mowa ludzka. Mowy należące do jednego szczepu n. p. indyjsko-europejskiego popowstawały wszystkie z tych samych pierwiastków; czy zaś mowy wszystkich szczepów razem nie popowstawały może także ze wspólnych pierwiastków, tego dotąd jeszcze nie zbadano. Zdaje się jednak, jakoby mowy całej ludzkości można pod względem ich początku podzielić na 2 wielkie gromady, z których jedna objęłaby mowy rasy etjopskiej, a druga mowy innych wszystkich ras. To jednak pewne, że mowy zupełnie nowe od dawna wcale już nie powstają lecz że tak zwane nowe mowy są tylko odmiany dawnych mów, i że początek mowy ludzkiej był równoczesny z początkiem rodu ludzkiego: gdyż rzeczywiście mowa artykułowana stanowi jedną z najgłówniejszych różnic między ludźmi a zwierzętami. Często można słyszeć zdanie, jakoby jakaś mowa powstała była ze zmięszania dwu lub więcej mów; to jednakże może się tyczyć tylko słów, nie zaś gramatyk. Ze zmieszania słów dwu mów może powstać tak zwana nowa mowa, lecz g r a m a t y k i n i g d y s i ę w z a j e m n i e n i e m i ę s z a j ą, tylko słowa jednej mowy poddają się prawidłom gramatycznym mowy drugiej, i tak n. p. ze zmięszania mowy łacińskiej i germańskiej wytworzyły się mowy nowsze romańskie, gramatyka jednak tych mów zatrzymała charakter łaciński, i ani jednego słowa tych mów nie odmieniają według gramatyki germańskiej. Podobne zjawiska okazuje mowa angielska, wytworzona ze zmięszania mów keltyckich, łacińskiej, germańskiej i francuskiej, gdzie słowa wszystkich tych mów poddały się prawidłom gramatyki germańskiej. Ciekawe zjawisko przedstawia w tym względzie mowa araukańska (aglutynująca) używana przez mieszkańców środkowej części rzeczypospolitej Chileńskiej w Ameryce południowej. Po osiedleniu się tam Hiszpanów, wyparły słowa hiszpańskie z mowy araukańskiej wszystkie słowa tej mowy, i przybrały jej formy gramatyczne. Mowa araukańska ma więc słownik hiszpański, ale gramatykę własną.

Życie żadnego narodu nie obejmuje całego życia mowy, to znaczy że żadnego narodu mowa nie przechodzi w ciągu życia tego narodu wszystkich faz życia mowy w ogóle, lecz ono obejmuje cały ciąg życia szczepu, a każdy następujący naród otrzymuje od narodu, który go poprzedził, mowę już w tej porze życia będącą w jakiej mu ją ten naród zostawił. Życie narodu jest więc w porównaniu do życia mowy, bardzo krótkie, a zmiany przebywane przez mowę są bardzo powolne.

Jak żadnego organizmu przyrodnego, tak też i mowy nie można sztucznie tworzyć, a różne usiłowania w tym celu nie doprowadziły do żadnego wyniku.

Pod względem zdania o powstaniu mowy dzielą się lingwiści na 3 stronnictwa. Jedni twierdzą, jakoby pierwsze wyrazy były refleksami uczuć, jakie wrażenia doznane przez pierwszych ludzi na tychże sprawiły. Teorję tę nazywamy i n t e r j e k c j o n a l n ą c z y l i w y k r z y k n i k o w ą. Drugie stronnictwo uważa mowę za powstałą przez naśladowanie głosów przyrody; tę teorję nazywamy o n o m a t o p e i c z n ą. Trzecie stronnictwo zaś jest tego zdania, iż wykrzykniki jako też naśladowanie głosów przyrodnych, bardzo mały tylko miały udział w powstaniu mowy, głównym zaś materjałem, z którego powstała mowa, byłyby pierwiastki. Zkąd jednak pierwiastki pochodzą, na to stronnictwo to nie daje zadowalającej odpowiedzi.

Mowy jako organizmy przyrodne, podlegają tym samym prawidłom jak wszystkie inne ustroje. Tak samo, jak żaden gatunek zwierząt ani roślin nie powstał osobno, lecz gatunki te pod wpływem warunków życiowych jeden z drugiego się powytwarzały, tak też żadna mowa odrębnego początku nie miała, lecz każda jest tylko odmianą tej mowy, która ją poprzedziła. Także czynniki działające przy wytwarzaniu się mów, są te same jak przy wytwarzaniu gatunków zwierzęcych i roślinnych, a tymi czynnikami są: bezpośredni wpływ zewnętrznych warunków życia, dający pierwszy impuls do zmiany, instykt zachowawczy sprawiający, że właściwości mowy przechodzą z pokolenia na pokolenie, wybór przyrodny i walka o życie, których skutkiem jest iż mowy doskonalsze łatwiej się utrzymują i rozszerzają, przeciwnie zaś mowy upośledzone narażone bywają na niebezpieczeństwo zagłady. Podobieństwo między gatunkami roślin i zwierząt a mowami, widać także w tem, że równie jak trudno oznaczyć ściśle różnicę między gatunkiem a odmianą, tak też nie łatwo określić różnicę między mową a narzeczem. Jak odmianami nazywamy takie postacie zwierzęce i roślinne, które mało tylko odróżniły się od innych, tak też jako narzecza uważamy te mowy, które nie wiele tylko od innych odróżnione, nie wytworzyły dostatecznego zasobu słów i dla tego nie wystarczają na potrzeby wykształconych klas ludności. Narzecza są więc niedoszłemi mowami, tak jak odmiany są niedoszłymi gatunkami.

Mowy różnych narodów obecnie równocześnie obok siebie istniejące, okazują zjawisko podobne do tego, jakie mowa ludzka w rozwoju swoim dziejowym przedstawiała. Widzimy bowiem istniejące obok siebie mowy prawie we wszystkich tych fazach życia, przez które mowa ludzka w ogóle w ciągu swojego życia przechodziła. Mowy więc przedstawiają nam podobne następstwo w przestrzeni i czasie jak cywilizacja, której różne stopnie istnieją o b o k s i e b i e r ó w n o c z e ś n i e, podobnie jak następowały p o s o b i e w d z i e j a c h.

Żałujemy, iż szczupły zakres rozprawki naszej nie pozwala nam rozwodzić się więcej nad życiem mowy, i wdawać się w szczegóły. Ograniczamy się więc na zwróceniu uwagi na ten dział umiejętności przyrodnych, którym u nas może najmniej się zajmują, i kończymy życzeniem, obyśmy i my, którym nawet cudzoziemcy wiele zdolności lingwistycznych przyznawają, i których mowa, mniej niżeli mowy zachodnio-europejskie, popsuta, badania tego rodzaju ułatwia, nie pozostawali w tym względzie po za innymi narodami.

Przegląd literacki.

(Henryk Merzbach: Z j e s i e n i. Bruksela, księgarnia królewska C. Muquardta 1882).

Naturalną jest rzeczą, że ludzie dłuższy czas przebywający za granicą, choćby byli obdarzeni najsilniejszym duchem i największym talentem, tracą powoli czucie z krajem, i przestają rozumieć tętno bijące w fermentującem społeczeństwie. Mamy tego dowód na pierwszorzędnych naszych mistrzach słowa. Literatura „emigracyjna“ nie była nigdy i być nie może prawdziwym oddźwiękiem żywota kraju, ludzie uprawiający ją stają zwykle na pewnym punkcie, i z niego zapatrują się na wszystkie sprawy społeczeństwa, przechodzącego co raz to nowe fazy rozwoju. Patrzą oni na kraj przez odpowiednio zabarwione szkła perspektywy, i wszystko przedstawia im się w odmiennem świetle, aniżeli jest w rzeczywistości. Uwagi te nastręczył nam zbiorek wierszy utalentowanego poety H. Merzbacha p. t. „Z jesieni“, który właśnie mamy przed sobą. P. Merzbach przemieszkujący stale w Brukseli stanął na roku 1863 razem z pewnem szczupłem kółkiem idealistów - emigrantów, i ani krokiem nie mógł posunąć się naprzód. To też w utworach jego wiele szowinizmu, wiele szlachetnych, ale niestety, nie mających realnej podstawy porywów, wiele zapatrywań oder-

wanych. Utwory te po większej części okolicznościowe, i jako takie mające cechę danej chwili, są jednak między niemi także wiersze oparte na głębszych, ogólnych motywach, ale i w tych przebija się prawie wszędzie jeden i ten sam ton, który powyżej scharakteryzowaliśmy. Należałoby już raz zerwać z oklepanymi frazesami, pięknie dźwięczącymi, ale pustymi w gruncie, należałoby już raz na wysoko trzymanym sztandarze wypisać nowsze hasła, któreby były wypływem potrzeb i zapatrywań społeczeństwa. P. Merzbach przeczuwa te nowe hasła, jak to widać np. w wierszach p. t. „Testament Lelewela“ lub „Poetom“ ale tylko przeczuwa — nie sformułował on ich sobie jasno; dla tego często wyjeżdża z czemś tak wstecznem jak np. w wierszu do młodego warszawskiego bankiera, któremu nakreślił taki program: zbijaj pieniądze i bądź Polakiem — program, jak widzimy, bardzo a bardzo nieszczególny, Na takie szowinistyczne gadania, jak w wierszu p. t. „Vitam impendere vero,“ że

dla mnie ludźmi nie są Moskale,
a bydło zawsze jest bydłem —

nikt się nie złapie, bo bezsilne obelgi nikogo nie przekonają, ani nauczą. Ale obok tych braków, które wypływają z pewnego punktu zapatrywania, znajdują się w zbiorku p. Merzbacha utwory, w których poeta szerszy widnokrąg obejmuje wzrokiem, odczuwa bole i walki społeczne i do wysokich wznosi się lotów. Wspomnieliśmy o wierszu p. t. „Testament Lelewela.“ Otóż jako próbkę tych głębszych zapatrywań, przytaczamy z tego wiersza następującą zwrotkę:

„Gdy umrę — powiedz Polsce, żem był dobrym synem,
Żem marzył dla niej wielkie i swobodne państwo,
Że nie herby ją zbawią, lecz lud i mieszczaństwo—
Że Kościuszko tem szlachcie, iż chciał znieść poddaństwo —
Żem ja — mieszczaninem!...“

Gdyby p. Merzbach wszędzie jak w tym wierszu miał pogląd tak jasny, zbiorek jego „Z jesieni“ byłby prawdziwą wiosną w biedniuchnej obecnie poezji. Mamy nadzieję, że szanowny autor w następnych swych pracach rozwinie szerzej myśli zawarte w „Testamencie.“

Formą włada autor wybornie, język ma piękny, miejscami nawet klasyczny, wiersz płynie u niego swobodnie i lekko. Zalety to nie małe, które stawiają go w rzędzie lepszych naszych poetów.

Ujemne uwagi, którośmy poczynili, podyktowała nam szczera sympatja dla autora, którego talent z pewnością spotężnieje, jeżeli wkroczy otwarcie na nową drogę, której obecnie słabo tylko dotyka.

Cz.

Przegląd muzyczny.

Koncert p. Tyberga.

Zapowiedziany po dwakroć koncert p. Tyberga, odbył się wreszcie 11go b. m. i zgromadził wcale liczną publiczność w sali Towarzystwa muzycznego. Czy mamy to przypisać sławie samego koncertanta, czy wystąpieniu jednej z najlepszych uczenic p. Mikulego, nie wiemy! Może to było rozbudzenie zamiłowania do sztuki... W p. T. poznaliśmy młodego jeszcze i niezawodnie utalentowanego adepta sztuki, który zdobył już tyle, iż można mu wróżyć świetną przyszłość, jeżeli nie ustanie w pracy i nie da się omamić oklaskami, których mu nie szczędzono, a które uważać powinien tylko za zachętę. — Ton w grze p. T. jest nie dość pełny, co tem bardziej czuć się daje w obec nie zbyt subtelnego cieniowania i oszczędzania go dla ustępów, wymagających więcej siły. W kantylenie nie umiał on wlać tego ciepła, które porywa słuchacza, a co do deklamacji, zdaje się, że p. T. jeszcze wcale na nią nie zwracał uwagi, bo mija się z najkardynalniejszemi jej zasadami. Ztąd też czuć się dawał we wszystkich utworach, które p. T. wykonał, brak uwydatnienia charakterystycznej ich cechy. Tak np. w koncercie Mendelssohna, ustępy, otwierające szerokie pole do wylania całej poetycznej duszy artysty, jak np. owe przejście, podczas którego orkiestra (tym razem fortepian) prowadzi melodję, a prym wytrzymawszy przez 8 taktów jakby długie westchnienie na nutę G., zwolna rozpływa się w smętną a podniosłą melodję — u p. Tyberga przeszło niepostrzeżenie. — Kadencja, ta świetna kadencja koncertu Mendelssohna, najwdzięczniejsze miejsce popisu dla każdego skrzypka — wypadła w całem tego słowa znaczenia, słabo. Arpeggia nie równe — trylery zaś na strunie G nie wyraźnie były wykonane. Na ten ostatni zarzut narażał się p. T. częściej i w innych utworach, w szczególności zaś rażące pod tym względem było odegranie pierwszego warjantu tematu w F-dur w polonesie Wieniawskiego, który wyszedł z pod smyczka całkiem „zamazany“. Może stosunkowo najlepiej była oddana Kołysanka Rebera (za co zresztą straciliśmy Romans Beethowena), i Rapsodja Hausera, chociaż w tej znów dawał się czuć ogromnie brak werwy i ognia. O ile Fantaisie-Caprice Vieuxtempsa było w tempie za rozwlekłem i grane z nużącą jednostajnością, a pozbawione zupełnie cechy lekkiego, prawdziwie francuskiego kaprysu, o tyle znowu 2gi polones Wieniawskiego nieco przyspieszony, nie miał ani śladu tej statecznej powagi, bez której nasz narodowy taniec pomyśleć się nie daje. Rozpęd w oktawach, w przejściu z E w A-dur do tematu, którym ś. p. Wieniawski tak świetny efekt wywoływał, nie tylko nie sprawił żadnego wrażenia, ale spowodował wskutek zbytniego stringenda (a n b. nie ma go ani w nutach, ani sam kompozytor nie robił go w tem miejscu) niezgodę z akompaniamentem. W Nokturnie Fielda za to, a zwłaszcza w Rapsodji Hausera można się było przekonać, jak znakomite towarzyszenie fortepianu miał pan T. w koncercie. Począwszy od cudnie krągłego i pełnego tonu, jaki w ślad za mistrzem i uczennica pna M. z instrumentu, uważanego zwyczajnie za oschły i brzękliwy, wydobywać umie, aż do ślicznie wyrównanych i subtelnych pasażów, znakomitego stopniowania, i misternie prowadzonej melodji, której każdy ton niejako plastycznie występuje na cudownie tkanem tle ozdób, arabesek i fioritur, panowała we wszystkiem miara i spokoj artystyczny, nader rzadki, u nas niestety!

Nie możemy pominąć bardzo pięknie wykonanego kwartetu na głosy męskie z F. Mayera „Leśna ptaszyna“; poprzestać jednak musimy tym razem w braku miejsca na tej wzmiance, zachowując sobie na przyszłość szerszą pogadankę o chórze męskim u nas.

Ł.

ZIARNKA

P. Woleński ofiarował cały dochód ze swego benefisu na rzecz pomnika dla Stanisława Dobrzańskiego. Jest to czyn sam tyle wymowny, że niepotrzebuje bezwględnie żadnych komentarzy. Ofiarowanie dochodu z benefisu przez p. Woleńskiego na uczczenie pamięci b. artystycznego dyrektora sceny lwowskiej, jest jawnym dowodem, że umiał on sobie zaskarbić wdzięczność i uznanie pośród swoich kolegów. Zasługi Stanisława Dobrzańskiego około sceny lwowskiej są w istocie niemałe. Pominąwszy już to, co mu winni są nasi artyści dramatyczni, których praca dopiero za jego inicjatywą i powodem została należycie oceniona, trzeba uznać to, że Stanisław Dobrzański doprowadził teatr nasz do pierwszorzędnego znaczenia, że skład personalu za jego dyrekcji mógł się mierzyć z warszawskim, że wprowadził on na scenę mnóstwo sztuk oryginalnych, a znakomite nowości zagraniczne przyswajał natychmiast naszej scenie, która tak pod względem doboru reportoaru, jak i inscenizacji, jak na Lwów, mogłyby służyć za wzór na przyszłość. Sam znakomity komik, jako człowiek wszechstronnie wykształcony, a obdarzony z natury zmysłem krytycznym, z zamiłowaniem i za-

pałem oddawał się swemu zawodowi, a z nie mniejszem powodzeniem także próbował sił swoich, jako pisarz dramatyczny. Jego „Żołnierz królowej Madagaskaru,“ jako farsa jest rzeczą wyborną, a „Złoty Cielec“ jest komedją poważną, która z pewnością stale utrzyma się w repertoarzu wszystkich scen polskich.

Uczcić więc takie zasługi, jest bez kwestji obowiązkiem społeczeństwa, a przedewszystkiem obowiązkiem tych, co mu byli najbliżej... P. Woleński ponosząc ofiarę ze swego benefisu, spełnił czyn szlachetny, za który mu się należy uznanie.

* * *

W jednym z poprzednich numerów Z i a r n a, na tem samem miejscu przypominaliśmy czytelnikom naszym o nadchodzącym jubileuszu J e ż a, i poleciliśmy im zapisywanie się na O g n i s k o, książkę zbiorową, którą na dochód dzielnego jubilata, wydaje literacki obóz postępowy w Warszawie. Wezwanie nasze pozostało dotąd bez żadnego odgłosu— nikt się z zapisem na „Ognisko“ do nas nie zgłosił. W Warszawie — inaczej. Tam „Prawda“, która wzięła inicjatywę w tem chwalebnem przedsięwzięciu, ogłasza co tydzień długie listy zapisujących się na jubileuszową książkę zbiorową, która i sama przez się posiadać będzie wartość nieposlednią, i przyczyni się do słuszniejszego wynagrodzenia znakomitego pisarza, słuszniejszego, aniżeli to oceniać zwykli panowie wydawcy. Spisy przedpłacicieli na „Ognisko,“ obejmujące abonentów, zgłaszających się wprost do „Prawdy,“ tworzą w każdym numerze szpaltę zwykle drobnego petitu, a numerów tych wyszło już nie mało. Znajdujemy tam rodaków ze wszystkich krańców świata, od lodowatego Sybiru, do gorącego Algieru, a nawet —Rosjan. Wielu przytem składa nie tylko cenę książki 6 złr., lecz daje nadto znaczne naddatki, bacząc na szlachetny cel wynagrodzenia przez kraj, zasłużonego patrjoty i dzielnego pisarza. Składają przytem nie tylko ludzie pojedynczy, lecz kółka, grona, biura, korporacje, składa młodzież szkolna, a suma często złożona za parę egzemplarzy, przenosi wartość całych dziesiątków egzemplarzy.

Gdy tak obficie płynie w Warszawie prenumerata—u nas głucho, i n i k t jeszcze z zapisaniem się nie pospieszył. Jak nam nie wstyd!

* * *

Mamy przed sobą pierwsze sprawozdanie Towarzystwa „Lwowski chór męski,“ za drugi rok jego istnienia t. j. od 12 listopada 1881 po koniec paździ rnika b. r. Wyłuszczywszy w treściwej przedmowie powody, które skłoniły były swojego czasu, znaczną większość członków dawnego chóru w gal. Towarzystwie źr muzycznem, do zawiązania samoistnego towarzystwa śpiewaków - amatorów — sprawozdawca (p. E. Łapicki), skreślił następnie z kronikarską ścisłością dzieje młodego towarzystwa od czasu jego powstania t. j, od kwietnia r. 1881, aż do chwili obecnej. Bilans czynności „Lwowskiego chóru męskiego,“ przedstawia się tam nader korzystnie. Towarzystwo w przeciągu roku produkowało się 33 razy — bądź to w koncertach własnych, bądź współdziałając w obcych, bądź na koniec, urządzając wycieczki w porze letniej do miast prowincjonalnych — jak Brody, Stryj, Tarnopol, gdzie wszędzie p. śpiewaków — jak dodaje sprawozdanie — przyjmowano nadzwyczaj serdecznie, uczty odbywały się wspaniałe — a recenzje dziennikarskie — kończy sprawozdawca — były zawsze nader podchlebne! Takich pięknych sukscesów, i w tak krótkim czasie żywota— możemy tylko życzyć z całego serca Towarzystwu i na rok następny. Oby tylko trochę więcej t. z. członków wspierających znalazło się wśród Lwowian, którzy słusznie lub nie słusznie, nie mniej jednak uchodzą w świecie — za zagorzałych a wiele wymagających melomanów. Obecnie „Lwowski chór męski“ liczy tylko 152 członków wspierających, a 103 czynnych wkładki pierwszych i drugich wynosiły zaledwie 369 złr. 50 ct. Mimo to, bądź co bądź pocieszającym, i trwałą przyszłość Towarzystwu rokującym objawem, jest szczegół, że rubryka sprawozdania „stan majątku Towarzystwa“, zamiast zwykle praktykowanych gdzie indziej pasywów —wykazuje 410 złr., jako wartość inwentarza, i 187 złr. w gotówce, jako pozostałość kasową na rok następny. Dochody Towarzystwa z koncertów, wycieczek, wkładek i inne „przygodne,“ wynosiły ogółem 1270 złr. 36 ct. wydatki (w tem zakupno nut, sprzętów i innych rekwizytów) 1082 zł. 55 ct. — Jak na początek, to i obrót pieniężny wcale pokaźny!

* * *

Znany z gruntownych prac młody historyk p. Antoni Prohaska, udaje się z początkiem grudnia do Moskwy, w celu zbadania źródeł rosyjskich, znajdujących się w archiwach tego miasta, a odnoszących się do „historji polskiej.“ Historja nasza ma wiele ciemnych punktów, które tylko źródła rosyjskie rozjaśnić mogą, a Niemcy przez usta prof. Caro zarzucili nam z pewną słusznością, że z powodu nieznajomości źródeł rosyjskich. jesteśmy dopiero „in der Vorhalle der polnischen Geschichte.“ W r. 1857 bawił w Moskwie w tym samym celu, w jakim obecnie tam jedzie p. Prohaska, August Bielowski, nie udało mu się jednak dostać do ódeł. Oby p. Prohaska był szczęśliwszym!. Do ekskurzji jego prywiązuje świat naukowy wiele nadziei..,

* * *

Wpoprzednim nu merze, w artykule p. t. „W obronie Melpomeny,“ zakradł się błąd drukarski, co do cyfr. Opera w czasie swego rozwoju za poprzedniej dyrekcji, kiedyśmy mieli śpiewaczki, jak Jakowicka, Dowiakowska, Gabbi, Marco, Caracciolo, śpiewaków jak Zakrzewski, Raverta, Verdi, Tercuzzi i t. d. kosztowała miesięcznie nie 1000, ale 4000 złr. Zecer zamiast 1 włożył 4, i błąd ten przeoczyliśmy.

ZAPISKI.

Literatura.

* Posiedzenie Wydziału f i l o l o g i c z n e g Akademii Umiejętności pod przewodnictwem Dra. Estreichera, odbyło się w sobotę (11 b. m.). Prof. Malinowski przedstawił artykuł Dr Hanusza z Lipska p. t. „Kilka uwag o języku przysiąg Czechowskich 1400—1418.“ Pracę tę odesłano do Komitetu redakcyjnego. Prof. Łuszczkiewicz odczytał referat Komisji historji sztuki o rozprawie p. t. „Entwickelung der militärischen Musik in Polen“ Na posiedzeniu administracyjnem prof. Tarnowski zdał sprawę z prac konkursowych z funduszu ś. p. K. Bieleckiego. Nagrodę przyznano autorowi rozprawy p. t. „Król Jan III w poezji polskiej XVII w.“ pod godłem „Fac et spera.“ Po otworzeniu koperty okazało się, że autorem rozprawy jest p. Konstanty Górski, uczeń uniw. Jagell. W końcu Wydział postanowił przesłać Zarządowi Akademii z przychylną oceną pierwszy zeszyt Słownika małorusko-niemieckiego, popierając podanie autora, p. Eugeniusza Żelechowskiego, o zasiłek na wydanie owego dzieła, o ile fundusze Akademii starczą.

* Rozprawka p. L. Hodolego „Wiek i jego prawa w wychowaniu“, drukowana w „Ziarnie“ wyszła w osobnej odbitce. Główny skład w księgarni F. H. Richtera (Altenberga).

* P. Bronisław Grabowski, — zdolny tłumacz utworów pisarzy słowiańskich, zamierza przełożył na język polski dramat Jarosława Vrchlickiego p. t. „S m r t O d y s s e c v a. Jest to jeden z najświeższych utworów płodnego i znakomitego poety czeskiego.

* W Zurychu zmarł temi dniami Gotfryd Kinkel, profesor archeologii i historji sztuki na tamtejszej politechnice, mąż głębokiej nauki, szlachetnego serca i gorącego zapału dla ogólno-ludzkich ideałów... Choć niemiec z rodu, był do skonu swojego szczerym przyjacielem narodu polskiego, i przy każdej sposobności głośno to uczucie manifestował. Urodzony w r. 1815 w pobliżu Bonn, po ukończeniu szkół średnich postanowił za wolą ojca, protestanckiego pastora, poświęcić się teologii. Uczył się jej w Bonn a później w Berlinie, gdzie też w r. 1836 został na uniwersytecie docentem historji kościelnej W czasie tym zaznajomił się z Em. Geiblem, a znajomość ta obudziła w nim zamiłowanie do poezji W krótkiem czasie wszedł w grono wybitnych literatów berlińskich owego czasu, jak Simrok, Freiligrath, W. Müller, i zaczął wydawać pisemko p. t. „Chrząszcz majowy“ (Der Maikäfer). Tam to ukazał się pierwszy jego i prześliczny poemacik: Otto Schütz“. Niebawem jednak nieporozumienia z

partją ortodoksów protestanckich, zmusiły go do porzucenia katedry historji kościelnej; udał się do Bonn i tam zaczął wykładać historję sztuki i poezji. Z tego właśnie czasu pochodzą jego utwory poetycze: „Kowal z Antwerpii“ i „Margareta“. Występując coraz śmielej w duchu demokratycznym i liberalnym a najbardziej już ogłosiwszy swoją „Pieśń mężów“ (Männerlied) ściągnął na siebie niechęć rządu pruskiego, który też cofnął poprzednie swoje wezwanie go na katedrę do Berlina. Gdy przyszedł r. 1846, a z nim ruch rewolucyjny w Niemczech, Kinkel rzucił się z zapałem do roboty politycznej. W r. 1848 należał w Berlinie do zgromadzenia narodowego, jako członek stronnictwa republikańskiego i demokratycznego. W rok później biorąc czynny udział w rewolucji badeńskiej w jednej utarczce ranny, dostał się do niewoli, a sąd wojenny skazał go na dożywotnie więzienie w twierdzy. Z pomocą przyjaciół zdołał po roku więzienia uciec szczęśliwie ze Spadau — dostał się do Londynu i tam przebywał do r. 1866 t. j. do czasu w którym zestał powołany do Zurychu na profesora archéologii i historji sztuki przy tamtejszej politéchnice. Jako poeta i pisarz zajmuje on niepospolite miejsce w literaturze niemieckiej ostatnich lat — jako człowiek wielkiego charakteru i serca, bodaj czy ma on wielu sobie podobnych w swojej rozległej ojczyźnie!

* P. Masarick, docent filozofii na uniwersytecie wiedeńskim, ogłosił świeżo, nader zajmujące, i na rozległych studjach statystyczno-moralnych oparte dzieło, p. t. „Der Sebstmord als sociale Massenerscheinung der modernen Civillisation“ (Samobójstwo jako społeczny objaw zbiorowy nowożytnej cywilizacji). W jednym z przyszłych numerów podamy czytelnikom naszym sprawozdanie z tej ciekawej publikacji.

* Jerzy Ebers skończył właśnie nową powieść pt. „Das Wort“, do której temat wzięty jest z dziejów Niemiec w XVI stuleciu.

* W Londynie ukaże się wkrótce dzieło illustrowane p. t. Rodowód djabła p. F. T. Halla. Autor skreślił w niem, w jaki sposób wytworzył się ideał odwiecznego wroga ludzkości, i przeprowadził analizę jego zawodu. Dzieło illustrowane rysunkami samego autora.

Teatr i muzyka.

* M. Bałucki pisze podobno nową trzyaktową komedję p. t. „Otwarty dom“. Ostatnią, o której wspominaliśmy w swoim czasie, mianowicie „Gęsi i Gąski,“ grano w ubiegłym tygodniu na scenie krakowskiej z wielkiem powodzeniem.

* Wiedeń ujrzy w tych dniach nigdzie dotąd— prócz we Włoszech, nieprzedstawianą operę Verdiego „Simeone Boccanegra“. Opera ta uznana obecnie za jedną z najznakomitszych kompozycyj włoskiego muzyka, dziwnych doznawała losów; upadła w r. 1857 w Wenecji, a w dwa lata później w Medjolanie, a dopiero w 1881 po przerobieniu przyjęta została w La Scala z entuzjazmem.

* W Towarzystwie z Coquelinem występować będą, oprócz p. Favart, dwie jeszcze sławne artystki dramatyczne: panna Marja Barthélemy i Daynes-Grassot.

* W teatrze „Bouffes Parisiennes“ szalone powodzenie miała nowa opera komiczna p. Audran, do której tekst ułożyli Chivot i Duru pt. „Gilotte de Narbonne“.

* Słuchacze uniwersytetu w Cambridge uczą się obecnie „Ajaxa“ Sofoklesowego, który w tekscie greckim ma być przedstawiony 23 bm. Dr. C. Waldstein, profesor archelogii greckiej, zobowiązał się do czuwania nad malowaniem dekoracyj i szyciem kostjumów. Profesor Macoorven dorobił muzykę do chórów, a profesor Jebb wydał specjalne tłumaczenie „Ajaxa“ prozą dla tych, którzyby niemogli śledzić przedstawienia w tekscie oryginalnym.

Sztuki piękne.

* W Poznaniu odbyła się 7 bm. uroczystość otwarcia zbiorów Tow. przyjaciół nauk, o którem pisma codzienne obszernie już doniosły, Nam niepozostaje na tem miejscu jak tylko zanotować, że zbiory te powstały prawie wyłącznie staraniem jednego człowieka, Seweryna Mielżyńskiego, który zakupił bogaty zbiór Edwarda bar. Rastawieckiego, a zbogacał go zakupnami ciągłemi, ktorych czynić nie przestał do końca żywota. Zebranie, które celem otwarcia uroczystego zbiorów odbyło się w galerji artystów polskich, zagaił prezes zarządu p. Stanisław Koźmian, po którym przemówił także wiceprezez dr. T. Matecki. Z przemówienia konserwatora p. Kanteckiego wyjmujemy następujące szczegóły, które interesować będą ogół: Galerja artystów i rzeczy polskich składa się z trzystu obrazów. Pomiędzy tymi są oprócz dzieł polskich artystów, obrazy malarzy, którzy czas dłuższy w Polsce przebywali, a mianowicie płótna pędzla Bacciarellego, Tomasza Dolabeli, J. Lampiego, Józefa Grassiego, Norblina de la Gourdaine i Ludwika Marteau. Z dzieł polskich artystów wymienić należy dzieła Chodowieckiego, Smuglewicza, Suchodolskiego, Orłowskiego, Brandta, Kossaka, Piotrowskiego, Gryglewskiego i Maleszewskiego. Galerja obcych mistrzów, zwana Mirosławską, chlubi się posiadaniem wielu dzieł bardzo pięknych, szkół włoskich i flamandzkich, pomiędzy któremi są rzeczy pendzla Domenichina, Guido Reniego, del Sarta, Carla Dolce, Palmy Vechio, Salvatora Rosy itd., a dalej Van Eycka, Lucasa van Leyden, Rubensa, Van Dycka, Ruysdaela Jakóba i wielu innych. Szkołę francuską zdobią Mikołaj i Kasper Poussin, Le Sueur, Lancret; na czele staroniemieckiej szkoły stoi Cranach. Hiszpanię przedstawiają godnie tacy malarze, jak Velasques de Silva i wielki Murillo, którego pendzel jaśnieje w dwóch świetnych płótnach, w ekstazie św. Franciszka i znakomitym, pełnym wyrazu i typowej charakterystyki portrecie nieznanego mężczyzny.

* W warszawskim salonie artystycznym Ungra wystawiono ostatniemi dniami na widok bohaterkę głośnej powieści Zoli „Nanę — oczywiście nie żywą, lecz wymalowaną, i jak zapewnia część recenzentów warszawskich — świetnie wymalowaną przez p. Suchorowskiego, młodego i utalentowanego malarza. Artysta obrawszy sobie za przedmiot swego studium „Nanę“ Zoli, musiał traktować rzecz w kierunku wysoce naturalistycznym, i podobno dobrze wywiązał się z zadania.

* „Albumu widoków Polski“ Napoleona Ordy ukazała się już serja siódma. Zawarte w niej, a jak i poprzednie, nader starannie wykończone ryciny, przedstawiają celniejsze widoki i miejscowości ziemi wieluńskiej, łęczyckiej, sieradzkiej, kieleckiej i inne.

* Dr. Juliusz Hübner, znakomity malarz ze szkoły Düsseldorfskiej, b. dyrektor galerji Drezdeńskiej, zmarł w tych dniach w Loschwitz. Hübner urodził się 27 stycznia w 1806 r. na Szląsku, uczęszczał do akademii sztuk pięknyh w Berlinie, a jako uczeń W. Schadowa przeniósł się z nim w r. 1826 do Düsseldorfu. W r. 1828 wystąpił z „Rybakiem,“ do którego temat zaczerpnął z ballady Goethego, i który powszechnie się podobał z powodu piękności linij i wyrazu. Drugi obraz jego „Roland, uwalniający z jaskini zbójców księżniczkę Izabelę“ rozsławił odrazu jego imię. Podczas pobytu we Włoszech wymalował w r. 1830 Ruth i Noemi, a w 1832 Samsona. Również znakomitemi dziełami jego są Job z przyjaciółmi, dziecko Jezus na chmurze (obecnie w galerji Berlińskiej) Pełna wdzięku grupa dzieci przedstawiająca wiek złoty, zdobyła mu w 1851 złoty modal w Brukseli, a obecnie znajduje się w muzeum drezdeńskiem. Najznakomitszem jego dziełem jest dysputa Lutra z Eckiem, będąca teraz własnością galerji drezdeńskiej, a malowana na zamówienie rządu saskiego. Wszystkie obrazy Hübnera odznaczają się wdziękiem form i kolorów; brak im nieraz siły w kolorycie i energii w wyrazie, ale wszystko to nieszkodzi bynajmniej ogólnej harmonii. Od 1839 Hübner bawił w Dreznie, gdzie był profesorem w tamtejszej akademii, a następnie po ustąpieniu Schnorra, dyrektorem galerji. Hübner próbował również z powodzeniem sił swoich jako tłumacz sonetów Petrarki, i wydał wyborny Katalog galerji drezdeńskiej z krytyczno-historycznym wstępem.

* W zeszłym tygodniu zmarł w Wiedniu słynny malarz tamtejszy Karol Blaas Ur. 28 kwietnia 1815 w Tyrolu, kształcił się w akademii weneckiej, a następnie bawił we Florencji i w Rzymie, gdzie żył w bliskich stosunkach z Kochem i Overbekiem. Wr. 1850 powołany na profesora do akademii wiedeńskiej, położył tam wielkie zasługi i ozdobił freskami kościół Altlerchenfeldzki w Wiedniu. Na wystawie paryskiej otrzymał nagrodę za piękny obraz swój: „Karol W. w szkole,“ w skutek czego powołano go do akademii w Wenecji. Tu wymalował sławne „Porwanie Wanecjanek“ za które otrzymał 1858 r. t. z. nagrodę cesarską w Wiedniu. Później otrzymał polecenie ozdobienia arsenału w Wiedniu, freskami z historji austryjackiej, co w przeciągu lat 11 wykonał. Karol Blaas był zarówno dzielnym malarzem religijnym i historycznym, jak znakomitym portrecistą. Rysunek jego jest poprawny, a koloryt głęboki.

* Franciszek Lenbach w Monachium, próbował malować szkic do portretu przy oświetleniu elektrycznem, a według własnych jego zapewnień próba powiodła się w zupełności.

* Clement de Ris, konserwator muzeum wersalskiego zmarł 12 bm. Zmarły wydał parę cennych dzieł treści historyczno-artystycznej, z których najbardziej cenionem jest „Le Musée royal de Madrid“.

* Nad ozdobieniem Panteonu pracuje obecnie w Paryżu mnóstwo artystów. Bonnat maluje męczeństwo św. Dyonizego, Galland zaś nad kazaniem św. Dyonizego. Każdy z artystów otrzyma za to z funduszów państwowych 20.000 franków.

* Meissonier bawi obecnie w Wenecji, i robi studja w kościele św. Marka.

* W berlińskiem muzeum sztuki i przemysłu otwarto wystawę malarstwa japońskiego. Prawie wszystkie obrazy pochodzą ze zbiorów prywatnych niejakiego p. Giercke z Wrocławia, a okazują, że sztuka malarska na płótnie i drzewie — pominąwszy znane powszechnie malatury na porcelanie, lakierze i t. p. od dość już dawna uprawianą była w państwie Mikadów Do jej okazów nie można przykładać miary europejskich pojęć o sztuce i estetyce, mimo te jednak nie można im odmówić wcale dobrej charakterystyki w przedstawianiu scen z prywatnego i publicznego życia Japończyków. Obrazy z XVI i XVII w. są kompletnie niezrozumiałe, za to pejzaże i rodzajowe kompozycje noszą na sobie piętno dość już rozwiniętego tam realizmu w sztuce.

* W grudniu r. b. zostanie otwartą w Rzymie międzynarodowa wystawa sztuk pięknych. Wielki pałac przy Via nazionale, przeznaczony na tę wystawę, wkrótce będzie ukończony. Obecnie już

nadesłano do 1000 obrazów i 400 rzeźb. Są to dzieła włoskich artystów, prócz tego wielu artystów cudzoziemców zgłosiło się ze swojemi utworami. Wystawa będzie otwartą przez całą zimę.

* Nakładem Engelhorna w Stuttgardzie wychodzi wspaniałe dzieło pt. „Die Kunstschätze Italiens". Redakcję oddano Karolowi v. Lützow, radyrunki wykonują pomiędzy innymi L. H Fischer, Forberg, Hahn, Krauskopf, Siegl i Hömle. Pierwszy zeszyt, który opuścił prasę, zawiera kilka ilustracyj do opisu Wenecji, a między tymi zwraca uwagę wybornie wykonany radyrunek pałacu Ca'doro, pomnik Callerniego, kopia św. Barbary Palmy Vecchia, i Madonę z rodziną Pesaro Tycjana.

* „Kunst und Künstler des neunzehnten Jahrhunderts," prześliczne dzieło wydawane przez Roberta Dobmego, jakkolwiek powoli, postępuje dalej. Obecnie wyszły dalsze 4. zeszyty od 3—6, i zawierają życiorys krytyczny Schadowa i Chr. Raucha przez dr Karola Eggersa, i życiorys Dawida D'Augers przez prof. Schmarsowa z Gettyngi.

* Nakładem Otona Schulzego w Lipsku wychodzić zaczęło wspaniałe dzieło „Die Schätze der grossen Gemälde-Gallerien Englands". Album to, które da poznać wybór dzieł nie zbyt dostępnych muzeów i galeryj angielskich, a składać się będzie z zeszytów, z których każdy zawiera trzy fotografie z tekstem objaśniającym, wydaje lord Ronald Gower. Całe dzieło składać się będzie z kilku tomów po 12 zeszytów, z których każdy kosztuje $3\frac{1}{2}$ marki: Do albumu wejdą reprodukcje dzieł znajdujących się w zamku Windsorskim, w Hampton Court, dalej w zamku Arundel, Althorp, Bridgwater House, w zamku Howard, w Deepdene, w Dover House, Grosvener House, Herdford House, Newnham Paddox, Stafford House, Chiswick House, w zamku Cardiff, Blenheim Apoley House i Yanshanger hr. Cowpera. Pierwsze 4 zeszyty zawierają fotografie z obrazów Meissoniera, Rembrandta, Van Dycka, Greuz'a, Lawrenc'a Fr. Halsa, Teniego, Goswaya, An. Caracciego i Metsa.

Nauki Przyrodnicze.

* Dr. Jan Horbaczewski, asystent w pracowni chemicznej prof. Ludwiga w Wiedniu, wytworzył sztucznie kwas moczowy. O rozwiązanie tego zagadnienia kusili się dotąd napróżno najznakomitsi chemicy, i z tego powodu wiadomość o odkryciu dr. Horbaczewskiego, niemałe zrobiła wrażenie w świecie uczonym. Wynalazca sam opisuje sposób otrzymania kwasu w Przegl. lek. w ten sposób.:

Drobno sproszkowany glikokol otrzymany z kwasu hipurowego, zmięszałem z dziesięć razy większą ilością czystego mocznika, wytworzonego z sinianu amonowego. Mięszaninę tę ogrzałem szybko w łaźni metalowej do ciepłoty 200—230 aż C., aż masa stopiona, z razu bezbarwna i przeźroczysta, stała się cisawo-żółtą, mętną i gęstawą. Masę tę po oziębieniu rozpuściłem w rozcieńczonym ługu potasowym, rozczyn zaprawiłem chlorkiem amonu w nadmiarze, i strąciłem mięszaniną roztworu srebrowego amonijakalnego, i mikstury magnezyjowej Osad zawierający kwas moczowy, po dokładnem wymyciu wodą amonijakalną, rozłożyłem rozczynem siarczku potasu. Po odsączeniu osadu zaprawiłem przesącz kwasem solnym w nadmiarze, i zagęściłem przez odparowanie.

liczny żółtawo zabarwiony, który wymyłem alkoholem i wysuszyłem, potem dla oczyszczenia z siarki wytrawiłem dwusiarczkiem węgla a wreszcie eterem.

W ten sposób otrzymane ciało zachowywało się pod względem chemicznym zupełnie tak samo, jak kwas moczowy:

1) Przedstawiało się pod mikroskopem w charakterystycznej formie krystalicznej, i to w miarę czystości preparatu w tabliczkach lub osełkach.

2) Odkwaszało alkaliczny rozczyn siarkanu miedziowego przy ogrzaniu, a już na zimno rozczyn azotanu srebrowego.

3) Rozpuszczało się przy ogrzaniu w zgęszczonym kwasie azotowym, przyczem wywiązywały się dymy brunatne, podczas gdy pozostałość odparowana barwy cebulowo-żółtej przez działanie amonijaku, stawała się purpurowo-czerwoną a po dodaniu ługu fijołkową

4) Ciało to rozpuszczało się bardzo trudno w wodzie, w kwasie, alkoholu i eterze, bardzo zaś łatwo w ługach alkalicznych.

Miscelanea.

Macao jest dawną bardzo kolonią portugalską na wybrzeżu chińskiem. Dziś przedstawia ona niemal pod każdym względem ruinę, bo ani tu owych dawnych bogactw, ani okrętów, po towary spieszących, ni wreszcie majętnych, dumnych kupców. A przecie Goa na wybrzeżu malabarskiem w Indjach przedgangesowych, i Macao były niegdyś dumą Portugalii, rywalizować bowiem mogły z najznaczniejszemi osadami innych państw. Były jednak ważne przyczyny, które sprowadziły upadek Macao. A najpierw bezwzględność i duma wice królów portugalskich, wzmagająca się potęga morska Holendrów, jednak najważniejszym powodem był handel angielski na wodach chińskich, i założenie tuż w pobliżu miasta Hongkong, osady angielskiej, co było już ostatecznym ciosem dla Macao Dotego taifun w roku 1874 pozbawił je nawet wielu zewnętrznych ozdób, znaczną bowiem część miasta zniszczył. Obecnie liczy ono 80.000 Chińczyków, a tylko 3 500 Europejczyków. Jest to straszny stosunek, toż nie dziw, że dziś straciło ono prawie zupełnie charakter kolonii europejskiej, a natomiast nawet zewnętrznie wydaje się miastem czysto chińskiem, w którem mnóstwo ciasnych uliczek, ozdobionych świątyniami pogańskiemi, a na nich dumnie spoczywają smoki i jakieś straszne potwory, którychby może i najsprawiedliwszy Chińczyk nazwać nie potrafił.

Cokolwiek odmienniej pszedstawia się część przez Europejczyków zamieszkała Ulice szerokie, wiele ogromnych kościołów i klasztorów, gdzie nie gdzie okazały gmach, ale i ślady upadku tu widoczniejsze, bo najpierw pustki na ulicach, a następnie gruzy i zwaliska, owa smutna pamiątka po ostatnim tajfunie, dotąd nie uprzątnięta, bo mieszkańcy są ubodzy i bardzo leniwi. Dawna, znana powszechnie duma po części dotąd ich nie opuściła, ale dziś robi ona jeśli nie zabawne, to przykre wrażenie. Jeszcze najmilszym dla oka i dla ducha jest pomnik wielkiego poety Camoensa, który szczególnym zbie-

Pozostałość wydzielającą się po oziębieniu rozpuściłem znowu w ługu potasowym i poddałem dwa razy tym samym działaniom chemicznym, jak powyżej. Ostatecznie otrzymałem proszek krysta-giem okoliczności aż tu za życia przebywał. Za jakiś tam stosunek z jedną z dam dworskich, wygnano go z Lizbony, poszedł więc do Marokko w walce szukać pociechy, a potem oparł się aż w Goa, skąd wypędzono go, bo był poetą, pisywał wiersze i to czasem satyryczne. Macao miało go wyleczyć z tej choroby, więc tu kazano mu przebywać i to całych pięć lat Tutaj to napisał sławny poemat „Los Kusiades", w którym opiewał wielkość swej ojczyzny. Powrócił on do niej przed śmiercią, ale po to tylko, by w ostatniej nędzy umrzeć. Macao wystawiło mu piękny pomnik w ogrodzie, na wzgórku, ale niestety mchy i chwasty pokryły ścieszki, któremi niegdyś dążono oglądać posąg wielkiego człowieka. Przyjezdny nie może się oprzeć ciekawości i choć z trudem, przecie drapie się na pagórek, by się przypatrzeć pomnikowi. A jest i inna rzecz w Macao, dość ciekawa, której pominąć nie można. Jak wiadomo Chińczycy dwie rzeczy namiętnie lubią: opium i grę w karty. Pierwsze jest wstrętne, bo doprowadza człowieka do stanu, który musi odrazę w każdym wzbudzić, a drugie jakkolwiek nie zabawne, to jednak nie przedstawia tak odrażającego widoku, jak tamto. Przytem na pochwałę Chińczyków trzeba przyznać, że w Macao przynajmniej nie wdają się w zbyt hazardowne gry. W każdym razie przed udaniem się do Gambling-house, czyli domu gry, należy się zaopatrzyć w dobre laski, Chińczycy bowiem lubią oszukiwać przy grze, a w takim razie oszusta należy koniecznie wybić, bo inaczej straci wszelki szacunek, zaś jego samego kije nie obrażają i na pojedynek z pewnością nie wezwie. Sami Chińczycy tak sobie nie ufają, że przy wypłacie pieniędzy, wygranych czy przegranych, bankier ręce trzyma zdaleka, a odlicza cienką laseczką z kości słoniowej. Nareszcie i to dodać należy, że w Chinach, równie jak u nas, całe społeczeństwo pogardza ludźmi, którzy albo w zbyt hazardowne gry grywają, albo też uważają karty za wyłączne zajęcie, rzemiosło i sposób zarobkowania. Mimo to w samym Macao jest mnóstwo domów gry, które nigdy pustką nie stoją. Jest wszelkie prawdopodobieństwo, że liczba ich jeszcze się powiększy, boć chyba tylko chińska ludność przesiedlać się będzie do Macao; europejskiej już dziś jakby nie było, a po kilku dziesięciu latach może i okręt żaden tam nie zawinie, bo port podupada tak samo, jak miasto.

Treść.

Wydawca: *Bolesław Spausta.* Odpowiedzialny redaktor: *Bolesław Czerwieński.*
Z drukarni „Dziennika Polskiego", pod zarządem Leona Zubalewicza.

Oryginalne Singera maszyny do szycia

Dziś popularniejsze niż kiedykolwiek!

Ogólny popyt za prawdziwemi maszynami Singera większym był znowu w r. 1879 niżeli w każdym innym roku w ostatniem ćwierćwieku, w którym to przeciągu czasu znajdują się maszyny Singera w rękach publiczności.

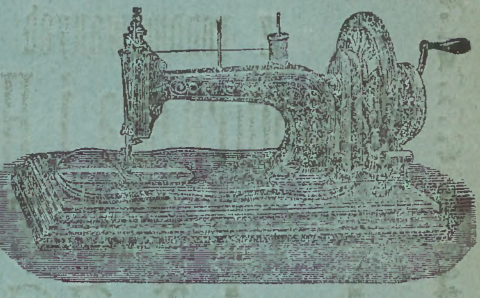


W ostatnim roku

Singer Manufacturing Company, w Nowym Yorku,

sprzedała

561,306 maszyn do szycia.



Olbrzymi ten odbyt i ciągły wzrost jego przemawiają najlepiej za dobrocią oryginalnych maszyn Singera i upodobaniem w nich publiczności, które są też najtańszemi maszynami do szycia.

Nowe przyrządy pomocnicze. Patentem ochronione od naśladownictwa.

Te nowe aparaty pomocnicze, które dostarczane są z każdą oryginalną Singera nową familijną maszyną do szycia, umożliwiają przez zmyślną konstrukcję swoją, nawet nieprawnym łatwe wykonywanie robót takich, jak szycie fałdów, wstawek itd., z taką szybkością i akuratnością, która dotąd była niemożliwą i do jakiej nie jest zdolną żadna inna maszyna.

Nowe Singera stoliki pod maszyny – prawem chronione od naśladownictwa.

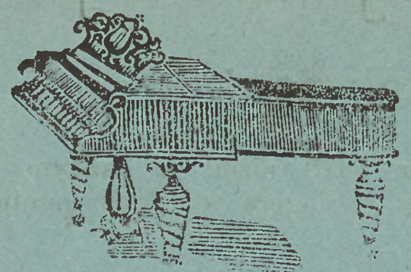
Na te stoliki, wynalezione przez Singera Manufacturing Comp., i używane od niejakiego czasu także na tutejszym placu wraz z familijnemi Singera maszynami do szycia, zwracam szczególniejszą uwagę. Wskutek znacznych ulepszeń ułatwiają one pracę nóg, zaopatrzone są kółkami do przesuwania, tak że każda kobieta może maszynę z łatwością ruszyć z miejsca. Trwałością swoją, gustownym kształtem i spokojnym chodem prześcigają one wszystkie inne stoliki pedałowe, tak że oryginalne Singera Maszyny do szycia, oprócz innych swoich zalet, są niezawodnie najspokojniej chodzącemi maszynami, jakie istnieją.

Ponieważ oryginalne Singera Maszyny do szycia z powodu swej wziętości wszędzie znajdują imitatorów, a imitacje te z powodu lichoty swej dla łatwiejszego pokupu, sprzedawane bywają z nadużyciem firmy Singera, przeto zwracam na to uwagę, że oryginalne Singera maszyny są prawdziwemi tylko wtedy, jeżeli oprócz marki fabrycznej mają firmę: The Singer Manufacturing Comp":

G. Neidlinger.

Aby umożebnić każdemu nabycie tych maszyn zarówno doskonałych dla domu i dla warsztatu, sprzedaje je bez podwyższenia ceny na spłatę tygodniową po **1** złr., a maszyny stare, jakoteż nie odpowiadujące celowi, wszelkich systemów przyjmujemy w gotówce. Całkowita gwarancja. Nauka bezpłatna.

Gwarancja lat 10. Gwarancja lat 10.



FORTEPIANY

z renomowanych fabryk

Hamburgera i Hofbauera

we Wiedniu

ma na składzie i poleca

A. ALSCHER

ul. Akademicka l. 26.

(Strojenia i reperacje **fortepianów i pianin** przyjmują się.)



Nowo urządzony handel

Herbaty chińsko-rosyjskiej

EDMUNDA F. RIEDLA

we Lwowie, plac Marjacki liczba 10

poleca zbioru majowego:

$^1/_3$ kilo

Congo . .	nr. 1	zł.	1·60	Pecco . .	nr. 6	zł.	3.—
Souchong czar.	2	„	2.—	Karawanowa .	7	„	4.—
„ zbiór maj.	3	„	3.—	„ najprzed.	8	„	6.—
Kaysow . . .	4	„	4.—	Gumpow. perl.	9	„	3.—
Malang de Londres	5	„	4.—	„ przed.	10	„	4.—

Herbata Souchong czarna, zbiór majowy, w oryginalnych chińskich skrzyneczkach i ołowiu opakowana, ważąca bez opakowania 700 gramów, czyli $1^1/_4$ funta wied. 3 zł. 50 ct.
Wysiewki herbaciane $^1/_2$ kilo zł. 1.20, z najlep. her. zł. 1.50.
Zamówienia z prowincyi wysyła się odwrotną pocztą.
Opakowanie nie liczy się.

Odszczególnione pięcioma medalami zasługi i listem pochwalnym

za niezrównane środki

mianowicie:

ANTILENTTILIA

usuwa **piegi**, **opalenia słoneczne**, **plamy wątrobiane**, nadaje twarzy białość, delikatność i przejrzystość. Cena 2 złr.

WODA FIJOŁKOWA

nieporównany środek, usuwa z twarzy pryszcze, liszaje, trądzki, pierzchnienie i łuszczenie się skóry i wygładza zmarszczki, pory. Twarz odświeża i nadaje nieporównaną delikatność. Cena 1 złr.

MAGNOLINA

jedyny środek odświeżający płeć, skóra sucha, szorstka i zgrzybiała pod wpływem **Magnoliny** staje się miękką, przejrzystą i delikatną. **Magnolina** usuwa **czerwoność nosa**, niszczy **wągry**, t. j. czarne punkciki, które najwięcej osiadają w okolicy nosa. Cena tego znakomitego środka 1 złr. 50 ct.

WODA LILIJOWA

Plamy żółte, brunatne i ostudy z twarzy, szyi i piersi pod wpływem tej cudownej wody po kilkakrotnem użyciu zupełnie zniknął. Cena 1 złr. 50 ct.

Orientalina czyli Pudr w płynie

nadaje twarzy prawdziwie naturalną twarz piękną i przyjemną białość, odświeża i konserwuje. Cena 1 złr.

PUDR KSIĄŻĘCY BIAŁY

jest prawdziwym unikatem w sztuce kosmetycznej, nie zawiera bowiem w swym składzie ani bizmutu ani ołowiu, ani też żadnych metalicznych pierwiastków szkodliwych zdrowiu, a pomimo tego przyjemnie przylega do twarzy, nadaje śliczną, naturalną i bardzo przyjemną białość i delikatność. Cena pudełka 1 złr.

PUDR KSIĄŻĘCY

cielisto-różowy dla blondynek i **cielisto-żółtawy** dla szatynek i brunetek po 70 ct., 1 złr. 20 ct. i 1 złr. 60 ct.

KREM ORJENTALNY BIAŁY

cielisto-różowy dla blondynek i **cielisto-żółtawy** dla szatynek. Kremy te czynią zadość wszelkim wymaganiom, nadają bowiem twarzy naturalną białość, delikatność i przejrzystość, a twarz martwa pokryta bruzdami, nierówno-szorstka, zostaje całkiem odświeżoną i młodzieńczą. Cena 1 złr. 20 ct.

PILIPTON

włosom siwym i wypłowiałym po kilkakrotnem użyciu przywraca piękny kolor — **PILIPTON** nie farbuje, lecz tylko odmładza włosy, który pod wpływem tego znakomitego środka odzyskują pierwotną barwę. Cena flakonu 1 złr. 50 ct.

WALENTIN

najsilniejsze wypadanie włosów w przeciągu dwóch tygodni wstrzymuje cebulki włosowe, wzmacnia i do wytwarzania i porostu włosów pobudza. Miejsca wyłysiałe nieprzedawnione pod działaniem tego środka pokrywają się pięknym włosem. Cały flakon 3 złr. Pół flakonu 1 złr. 60 ct.

NIGRETINA.

Po długiem doświadczeniu udało mi się wynaleść wyborny środek do natychmiastowego farbowania włosów na trwały i piękny kolor czarny lub ciemny; jest on zupełnie nieszkodliwy i w zastosowaniu bardzo prosty. Cena 1 złr. 2571 29-0 4

JAN IHNATOWICZ,

magister farmacji i chemik sądowy.

Nabyć można we Lwowie w fabryce ulica Kopernika l. 3, u pp.: Kozłowskiego, Hawranka, Henryka Müllera i Bystrzonowskiego, w Krakowie we Filji Sukiennice l. 20, w Brodach u Witkowskiego, w Buczaczu u Müllera, w Brzeżanach u Müllera, w Tarnopolu u Jamrogiewicza, w Stanisławowie u Maoury, w Przemyślu u Nahlika, w Jarosławiu u Wisłockiego, w Samborze u Marescha, w Podhajcach u Karzykiewicza, w Stryju u Wysoczańskiego, w Kołomyi u Stenzla.